

LUCYAN SIEMIENSKI

przez

STANISŁAWA TARNOWSKIEGO.



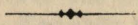
W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU”
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1878.

LUCYAN SIEMIŃSKI

przez

STANISŁAWA JARŃOWSKIEGO.



Per fido esempio alla mia vocazione
Nascendo mi fu data la bellezza.

Michał Anioł. Sonet VIII.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

W KRAKOWIE,

CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“

pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1878.

<https://rcin.org.pl>



STANISŁAWA JARNOŃSKIEGO

For this example all the volumes
have been in the library.
Catalogue, 1891, Vol. VIII.

5184

W KRAKOWIE

Osobne odbicie z „Przeglądu Polskiego“. — Nakładem Redakcyi.

1878

LUCYAN SIEMIENSKI¹⁾.

Per fido esempio alla mia vocazione
Nascendo mi fu data la bellezza.

Michał Anioł. Sonet VIII.

„Na świat przychodząc, za wzór powołania

„Piękność mi dano“

mówi Michał Anioł w jednym z tych sonetów, które Lucyan Siemieński przełożył na język polski, a co mistrz wielki do siebie, to słusznie stosować możemy i do tego jego tłumacza.

„Za powołanie piękność mu dano.“ Służyć jej, rozszerzać jej panowanie, jej znajomość i cześć w swoim narodzie, to było jego przeznaczeniem, a za środek do spełnienia tych przeznaczeń dano mu zdolność tworzenia, a zwłaszcza zdolność poznania, uczucia, zrozumienia i wytłumaczenia piękności.

„Kto w to nie wierzy, krzywego ten zdania:

„Bo przez nią tylko dociągam tej mety“

że odemnie począwszy i przezemnie piękność wszelka, czy stworzona przez Boga w człowieku i w naturze, czy przez

¹⁾ Rzecz czytana na posiedzeniu publicznem Akademii Umiejętności w Krakowie dnia 3 maja 1878, przedrukowana z *Rozpraw i Sprawozdań Akademii* za rok 1878.

człowieka w sztuce, przedwieczna czy dzisiejsza, własna czy obca, znana jest i rozumiana, umiłowana i objaśniona, jak przedemną nigdy podobno na ziemi polskiej nie była. I wielką ztąd mam zasługę i chwałę, bo

„głupio ten myśli, kto sobie uroi,
„że piękność tylko zmysły niepokoi,“

że jest ich bawidłem czy pieścidłem lub wyobraźni płochą zabawką czy znikomą rozkoszą.

„Właśnie duch zdrowy ona rozaniela“

bo go podnosi w oświacie, a dając mu poznać jedność piękności w nieskończonej różnitości form odmian i stopni, uzacnia go wyższem pojęciem siebie samego i świata. A jak te środkowe wiersze sonetu streszczają w sobie to posłannictwo, jakie wśród nas spełniał ś. p. Lucyan Siemieński, tak znowu dwa ostatnie malują dobrze to jego dążenie, z latami zawsze wyraźniejsze i silniejsze, dążenie tam,

„kiedy wejść inaczej
„nie można, tylko z łaską Zbawiciela.“

Jak kazanie z tekstu Pisma igo, tak ze słów tego sonetu możnaby wysnuć treść działalności tego człowieka, który dla naszej literatury, i więcej, bo może dla naszej oświaty w ogólności był koniecznym, a był pod niejednym względem w swoim rodzaju jedynym, pierwszym co do czasu i co do znaczenia, pierwszym, który w swoim rodzaju z takim działał skutkiem. Był on uzupełnieniem i bardzo szczęśliwem i bardzo potrzebnem ostatniej najświetniejszej epoki odrodzenia naszej literatury, zwłaszcza naszej poezyi. Miała ona dwa razy piękne chwile, oba razy upadek nastąpił szybko po wzroście. Po Kochanowskim poezya polska puszcza tu i owdzie ładne boczne odrośle, ale te nie mają dość siły, żeby się zakorzenić i rozkrzewić, a pień główny ma tyle soków żywotnych ile ich po Kochanowskim zostało: te zaś, coraz słabsze, coraz bardziej rozrzedzone, krążą tak leniwo i skąpo, że drzewo usycha i z próchna wydaje w końcu liche posożyty. Po Krasickim i Trembeckim poezya nie zdziczała, bo poeci i pisarze następnego pokole-

nia mieli zasób niemały zdolności i nauki, ale to nie przeszkodziło jej kosztować i sztywnieć, bo między tymi zdolnymi i uczonymi nie było tego, ktoby „za wzór powołania piękność był dostał“ — i widział w prawdziwym świetle jej istotę, jej warunki i jej dzieła. W pierwszej z tych epok literatura podupadła, bo smak nie był dość wyrobiony i powszechny, w drugiej, bo był fałszywy. A tymczasem talenta same, choćby najświetniejsze, choćby geniusze, nie wystarczają, jeżeli ogół nie wie, w czym ma piękności szukać, po czem ją poznać, jeżeli się na niej znać nie nauczył lub zapomniiał. Włochy pomimo całego swego zastępu mistrzów wszelkiej sztuki, rozmiłują się w stylu *barocco* i w mdłej poezyi Metastazyusza; Szekspir pójdzie w zapomnienie, z którego go późniejsze dopiero wieki wydobędą; sami Grecy znani będą Europie na prawdę tylko z nazwiska. Nieśmiertelne dzieła natchnienia i geniuszu nie zginą, ani wartości swojej nie tracą, ale dla całych pokoleń będą nieprzystępne i prawie stracone, jeżeli nie będzie tych ludzi, którzy znając się na piękności dobrze, nie dają pojęciom o niej błąkać się i krzywić. Żartobliwy wiersz Mickiewicza kryje w sobie prawdę głęboką: „natchnienie jest duszą sztuki,“ ale ono, choć „na wyobraźni unosi się skrzydłach,“ musi przecież „polerować się gustem, wspierać na prawidłach.“ A prawidła piękności, w całej nieskończonej zmienności i różnaitości jej form i rodzajów, zdrowe z natury rzeczy wynikające prawidła, są i prawdziwe i niezmiennie i zawsze te same; a jak w moralności kradzież, lub oszukaństwo, lub zabójstwo, tak w sztuce przesada naprzykład, lub pedantyzm, lub maniera nigdy dobrymi nie będą.

Otóż ludzie, którzy te prawidła znają, potrzebni są i pożyteczni bardzo, bo oni „gust polerują,“ oni strzegą, żeby na złe drogi nie zboczył i nie wziął szychu za złoto, oni rozumiejąc sami, objaśniają drugim istotę i cechy piękności prawdziwej, a utrzymując i szerząc jej znajomość i cześć, przeciągają dobre dla sztuki epoki długo po za zakres życia mistrzów i chronią ją od upadku i skażenia.

Takiego znawcy, jak Lucyan Siemieński, nie mieliśmy jeszcze nigdy; a jeżeli dziś, pomimo powszechnego w Europie upadku twórczości w literaturze, nie ma u nas upadku smaku,

jeżeli zamięłowanie poezji nie tak może gorące, nie jest mniej głębokiem, jak przed laty pięciudziesiąt, jeżeli sąd jest wytrawniejszy a znajomość rzeczy i powszechniejsza i gruntowniejsza niż dawniej bywała, i jeżeli z tych wszystkich powodów wróżyć możemy, że mimo braku geniuszów literatura u nas dotrwa w dobrym stanie, bez upadku, aż do czasu, kiedy ją nowe jakieś wielkie siły znowu wyżej podniosą, tedy będzie to zasługą i dziełem tych umysłów oświeconych i wykwintnych, które stoją na straży „narodowego piękności kościoła,” a między nimi w pierwszym rzędzie tego, który do straży takiej był powołany, zdolny i przysposobiony, jak żaden z współczesnych i jak żaden z Polaków przed nim, Siemieńskiego.

Nie jest to wielki a jednolity odłam marmuru czy granitu, zawarty cały w kilku prostych liniach i cały nawskroś jednaki, a przeto do opisania łatwiejszy. On raczej podobny do brylanta, który oszlifowany misternie w małej objętości przedstawia nieskończoną liczbę różnych płaszczyzn i linii, a każda ma swoje właściwą grę kolorów, z każdej bije inny połysk. Zliczyć je i opisać niesposób. Ale to powiedzieć trzeba, że jak rzadko zdarzają się w świecie organizacje tak nawskroś artystyczne, a między nami ta była zupełnie wyjątkową, tak i rzadko który z tych ludzi, którym za powołanie dano piękność, tak był hojnie jak Siemieński wyposażony we wszystkie środki dostrzeżenia, zrozumienia i opisanja jej, gdziekolwiek ona się kryła, w naturze czy w sztuce, w człowieku czy w historii.

Naprzód, miał najwykwintniejsze i najpewniejsze uczucie formy. Nie to zwyczajniejsze, choć jeszcze nie bardzo zwyczajne, które polega na upodobaniu, zamięłowaniu form pięknych, a wrodzonym instynktowym wstręcie do wszelkiej brzydoty; taki wrodzony dar poznania co piękne a co brzydkie, ma wielu, nieraz dostrzedz go można w małych dzieciach. On miał uczucie formy w tym stopniu wyższym, na którym ono nie jest samem tylko teoretycznem zamięłowaniem czy zachwytem, ale staje się praktyczną zdolnością tworzenia form pięknych. On wszystkiemu co robił umiał nadać kształt, całość, jedność i proporcję, a koloryt nie ustępował w niczem rysunkowi, i styl jego i język, w wier-

szu czy w prozie, jest tak zawsze prosty i przejrzysty, tak doskonale zastosowany do przedmiotu, tak jaśniejący wszystkimi własnościami jakie tylko styl mieć może, że jest jednym z wzorowych, jednym z najpiękniejszych jakie mamy, a kiedyś po wiekach będzie tak podziwianym, jak my dziś podziwiamy styl Górnickiego lub Krasickiego. Sam mistrz pięknej formy, zdolny był ją cenić i podziwiać, powołany ją sądzić u drugich.

Ale zmysł artystyczny sam nie wystarcza. Z dziwną pojętnością i bystrością umysłu Siemieński łatwo zapewne się kształcił, nabywał szybko, co inny byłby zdobywał z trudem, a może nie byłby zdobył wcale, a w tem kształceniu zapewne pomagał sobie swoim wrodzonym darem czy zmysłem, zdolnością odgadywania, intuicyą, ale to pewna, że człowieka estetycznie tak wykształconego jeszcze nigdy u nas nie było, nie było przynajmniej pomiędzy tymi autorami, którzy o estetyce jako takiej lub o dziełach sztuki sądzili i pisali. Estetycy i krytycy z obozu klasyków, byli, mniejsza o to że jednostronni, ale dziwnie powierzchowni. Stanisława Potockiego lub Euz. Słowackiego dowodzenia lub definicye dowodzą zawsze nie tylko niedostatecznych wiadomości, ale nawet niedostatecznego zastanowienia się i myślenia, a sławny Osiński, który o wszystkim decydował jak z trójnoga, nie dość że sądy swoje z Laharpa nie już brał, ale żywcem dosłownie tłómaczył, jeszcze częstokroć daje się złapać na gorącym, gorszącym uczynku mówienia śmiało o rzeczy, której widocznie nie znał i nie czytał. Uczonym nie był żaden z nich: Książę Wymowy był co najwięcej wykształconym i to ednostronnie i pedantycznie; Osiński miał to, co brzydkiem słowem nazywamy *sprytem*, i miał złośliwość, ale krytykiem prawdziwym, nie mówię już zdolnym lecz tylko sumiennym, podejmującym zadanie swoje z potrzebnym zasobem nauki, nie był. Pierwszy teoretyk nowszej szkoły, Brodziński, miał tę powagę rzetelnej pracy i wiedzy, jakiej tamci nie mieli, i miał trafniejsze niż oni uczucie; nieszczęściem smak był u niego jeszcze jakiś niewyrobiony, jak żeby spętany, nieśmiały i mdły, konwencyonalny, a kto w praktyce unosił się nad *Templaryuszami* a rozczulał nad *Rodziną Arabską*, ten w teoryi mógł mieć pojęcia słuszne i dobre, ale szero-

kich i śmiałych mieć nie mógł. Estetycy i krytycy romantyczni zaś mieli niezaprzeczenie wiele krytycznego zmysłu jedni (Grabowski); wielką zdolność pisarską inni (Mochna-cki) — ale na nieszczęście byli w swoim kierunku prawie tak powierzchownie, tak pozornie wykształceni, jak byli w swoim krytycy i recenzenci klasyczni. Sadzili się na głębokość i chcieli koniecznie wydobyć i określić *absolutną ideę piękną*, a ta idea wydobyta z Schellinga lub Hegla, a określona niezrozumiale i niejasno, była tak mało absolutną, że kiedy miała tłumaczyć poszczególne przypadki czy fenomena lub na nich zasady swoje dowodzić, to bez naciągania nie obeszło się prawie nigdy. Dociekać absolutnej idei, tłumaczyć co jest literatura, co poezya, co piękność, co narodowość, do tego byli zawsze gotowi, ale zdać sprawę jasno i słusznie z Wallenroda lub z Maryi, to jakoś przychodziło im trudniej. Oni mieli dużo zapału, ale filozoficznych pre-
tensyj więcej niż artystycznego zmysłu i smaku.

Ten był pierwszym, który znał wszystko co do zawo-
du krytyka i zakresu literatury należało; znał naprzód sam przez siebie wszystkich poetów i większą część prozaików świata, i znał prócz tego nie jedną teorią klasyczną lub ro-
mantyczną, francuską lub niemiecką, ale wszystko co bądź jako teoria, bądź jako historia, bądź jako monografia je-
dnego autora lub dzieła ważnego, w Europie wychodziło.

Ale sam ogrom wiadomości nie byłby wystarczył. Stu-
dnią erudycyi był wszakże i Maks. Ossoliński, i do dziś dnia ze studni tej czerpać można. Ale trzeba czerpać pracowicie, bo ona sama najmniejszym promykiem wody nie wytryśnie. Z Siemieńskiego wszystko co w nim było, wrodzone czy na-
byte, biło samo swoją własną siłą jak źródło. Miał on nie-
tylko ten rodzaj zdolności, który wiele pamięta, zatrzymuje,
klasyfikuje i kataloguje, ale i ten wyższy, który naturę i
wartość dzieła czy człowieka przenika nawskróś, a poznaw-
szy, zdaje z niego sprawę, zrozumianemu i rozłożonemu
przywraca całość, jedność, i życie. Poeta, przynosił do swoich
prac naukowych tę wyobraźnię, której potrzeba nietylko na
to żeby z siebie coś stworzyć, ale żeby odtworzyć to
co w przeszłości było, z całą dokładnością i prawdą ale i
z całym życiem. Artysta, miał ten dar szczęśliwy nadawania

życia wszystkiemu czego się dotknął, a człowiek umysłem wyższy a wykształceniem wywyższony, miał tę własność żywego zajęcia się wszystkiem co było zajęcia godne, tę szczęśliwą i szlachetną ciekawość, która sprawiała, że nie miał spokoju dopóki nie odgadł, nie poznał człowieka czy epoki historycznej aż do drobnych, ukrytych często, a charakterystycznych rysów ich duszy i fizyognomii. Jak świętemu filozofowi nic z tego co było ludzkim, tak jemu nie mogło być obcem nie, co było polskiem i co było pięknem. Ztąd ta gorąca żądza i ta energiczna wola poznania całego zakresu literatury i sztuki, ta sympatya żywa, gwałtowna, nigdy niezaspokojona, która ogarniała poezją i historią, malarstwo i rzeźbę, stare druki, ryciny, pieśni i powieści gminne, Homera i księżnę Wirtembergską, świętą Teresę i Horacego, Michała Anioła i Obóz Klasyków; ztąd w jego Portretach Literackich żyją i ruszają się cztery wieki naszej cywilizacji, w jego przekładach sąsiadują święci mistycy z pogańskimi Słowianami Krółodworskiego Rękopismu, a starzejąca się cywilizacya rzymska z pierwszemi najprostszymi jej formami w Grecyi Homera; ztąd nie ma prawie kraju, okresu czasu, przedmiotu, któregooby pióro jego nie było dotknęło, a wieleż ich opracowało gruntownie. Ztąd jego sprawozdania z wystaw malarskich są nietylko najobfitszym i najcenniejszym materiałem do historii tej tak świetnie u nas rozwijającej się sztuki, ale i zbiorem najlepszych, najgłębszych, najuczeńszych sądów, jakie u nas do dziś dnia o tej sztuce były wypowiedziane.

A jeżeli to wszystko daje mu u nas stanowisko pierwszego w rzeczach sztuki i literatury znawcy i sędziego, to znowu duch i dążność wszystkiego co pisał, nadaje mu stanowisko i znaczenie, jakiego same tylko zdolności i zalety uczonego i artysty nadać nikomu nie mogą. Wszystko bowiem, co pisał od początku do końca i od dzieł poważnych i wielkich do małej satyrycznej bajki, wszystko przejęte jest duchem szlachetnym, wzniosłem uczuciem, patriotyczną i obywatelską dążnością. Tylko, i w tem największa może jego chwała, ten duch z latami wznosi się i potężnieje, zmienia się, ale zmienia na lepsze; szlachetność, wzniosłość; zapał zostają, a przybywa powagi, przybywa w sądach głę-

bokości i sprawiedliwości; żaden z wdzięków młodości nie ginie, owszem, miłszem jeszcze światłem jaśnieją i wabią przy tej powadze wieku, przy tej wytrawności umysłu i talentu, przy tym nieraz ciężkim smutku duszy, a zachowując całą świeżość i świetność młodzieńczą, umysł i talent nabiera w starości sił jakich nie pokazywał po sobie za młodu, a dusza piękna zawsze szlachetnością uczuć, kończy na ich powadze wzniosłej, smutnej, bardzo budującej, a tak starannie ukrywanej, że stopień jej dziś dopiero, po śmierci, zaczyna być dla nas widocznym. Widzi się i poznaje dobrze na tym żywocie, „jak duch zdrowy piękność rozaniela“ i doprowadzi go na wysokości,

kędy wejść inaczej
nie można, tylko z łaską Zbawiciela.

I.

Możnaby powiedzieć, że ten artysta miał swoje lata nauki i lata wędrówki, jak sławny Meister Göthego, ale miał jeszcze prócz tych, czego tamtemu nie dał wielki autor, lata dojrzałości i czynności, kiedy z plonem nauki i wędrówki powrócił do domu i mędrszy, uspokojony, rozdawał hojnie swój talent, przysparzając go ciągle. Jego życie dzieli się samo naturalnie na trzy okresy oznaczone ważnemi w dziejach naszych wypadkami. Pierwszy, to ten czas młodości i próby, kiedy człowiek niesiony poetycznemi aspiracyami i patryotycznemi uczuciami, czuje się zdolnym, wie, że będzie czemś, ale czem, tego jeszcze dobrze nie wie. Wiele kocha, wiele pragnie, wiele się spodziewa, za treść swego życia bierze tworzenie i poświęcenie się, ale jeszcze sam siebie nie dość wypróbował i poznał, iżby mógł wiedzieć z pewnością, jakie jest jego powołanie prawdziwe, gdzie właściwy zakres jego tworzenia i pracy, jego obowiązków i poświęceń. Dla Siemieńskiego okres ten, którego główną chwilą jest rok 1831, kończy się z jego przymusowym wyjazdem z Galicyi za granicę w roku 1838. Z tych lat pochodzi część największa jego prac poetycznych. Potem lata wędrówki, nietylko materialnej tułaczki za granicą, ale i wę-

drówki po różnych drogach ducha, walki z własną myślą, łamanie się i przetwarzanie wyobrażeń, znajomość coraz lepsza a częstokroć z trudem i bólem zdobyta rzeczy, ludzi i samego siebie, szukanie pracowitej prawdy, reguły postępowania w życiu i prawdopodobnego rozwiązania zagadki dziejów; epoka przygotowania, wielce w życiu jego ważna i potrzebna, bo jak uzupełniła jego wykształcenie przez żywą i bliską styczność z zagranicznym światem i przez poznanie europejskiej sztuki, tak przez walki i doświadczenia zbliżyła go do dojrzałości i równowagi, do dokładniejszego poznania prawdy religijnej, historycznej i państwotycznej. To są lata emigracyjne, aż do jego powrotu w roku 1848.

Odtąd osiadł w najcichszym z miast polskich cokolwiek znaczących, i zaczął się okres ostatni, trzydzieści lat już nie nauki, ale nauczania, w ciągu których „w ciągłej,” jak mówi poeta „słowa postaci, rozdawał siebie samego swej braci.” Pisał więcej niż przedtem, pisał ustawicznie, godziennie i o najrozmaitszych przedmiotach, głównie wszakże i najwięcej pracował na najwłaściwszym sobie polu literatury i sztuki. Swojej zdolności poetycznej nie zaniedbał, owszem, kształcił ją ciągle i podnosił przez przyswajanie sobie form coraz nowych, coraz może doskonalszych, ale jak za młodu poezya, tak teraz proza naukowa i nauczająca zajęła główne miejsce w jego czynności. Rozmiarami największe a wartością najpoważniejsze jego dzieła przypadają na ten okres ostatni, przecięty jeszcze na dwie równe połowy wypadkami roku 1863. Do tej chwili to pisarz dojrzały i wytrawny, ale przeistający z upodobaniem w samym prądzie bieżących spraw, dzieł lub myśli, z wielkiem zajęciem, z młodzieńczą jeszcze energią i żywością, a często z wielką wesołością, z wielkim humorem zstępujący w szranki teraźniejszych, chwilowych walk czy turniejów. Od owej smutnej chwili, choć dla ludzi zachował tę samą zawsze życzliwość i dobroć, ten sam wdzięk i uśmiech pogodny, w sobie przecież zesmutniał. Był jak ten starzec Malczewskiego, kiedy mu już nie na ziemi nie zostało, „mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, choć zresztą jednaki;” w otaczające go pokolenie mało miał wiary, mało od niego wyglądał, mało też mieszał się w jego bieżące sprawy

literackie czy inne, a za to z podwojoną miłością i tęsknotą spoglądał w przeszłość swojej ojczyzny czy świata i otaczał się towarzystwem najwyższych z pomiędzy tych „uskrzydłonych duchów, które od ziemi rwały go do siebie,“ a z tych świetnych narodowych wspomnień, i z tych wyżyn poetycznego Olimpu, dążył wyżej na skrzydłach mistycznej miłości, „w przestwory szafiru,

Gdzie czysta prawda będzie mi podaną.“

Co robił przed rokiem 1830? czem być zamierzał? czy pisał? gdzie drukowane jego pierwsze wierszyki? nie wiemy; nie ma go w gronach młodych poetów i literatów ówczesnych, a w warszawskich czy wileńskich pismach zbiorowych nie znajdujemy ani jednego jego wierszyka. W różnych scenach ówczesnego życia literackiego występują już młodzi ludzie, jego rówiennicy, choć sławy jeszcze nie mają; jego nie widać. Student lubelskiego gimnazjum, potem przez wuja Dłuskiego, pułkownika w służbie rosyjskiej, przeznaczony do wojskowego zawodu, ale jako szczupły i wątły, mający z woli tegoż wuja sposobić się do zawodu dyplomatycznego w szkole języków orientalnych w Odesie, później jeszcze pozbawiony tej opieki przez śmierć wuja, który umarł z tyfusu podczas kampanii tureckiej, dwudziestoletni chłopiec nie daje po sobie znaku życia ani zdolności, nikt o nim nie wie, a może nie wie i on sam o sobie. Ale nie idzie za tem, żeby nie robił, a co robił, zgadnąć łatwo, choć się o tem nie ma wiadomości. Sposobił się pocichu i bez zamiaru ale najskuteczniej, do swego prawdziwego zawodu: od rana do nocy czytywał Mickiewicza, marzył z Malczewskim, chwycił uchem dźwięki Zaleskiego, oddychał poezją, karmił się, żył nią, przesiąkał nią cały tak, że oswójony z jej formami mógł później wydać je wszystkie bez trudu, prawie od niechcenia. Czy hołdował w tych latach Byronowi, jak wszyscy współcześni, nie wiedzieć, ale i nie znać tego po nim i wnosićby można, że młody romantyk który kiedyś miał wywołać zdrowy i słuszny zwrot do klasycyzmu, a raczej pojednania jego z romantyzmem, do Mickiewicza zapalony, nie czuł wielkiego pociągu do pochmurnego Anglika: przynajmniej nigdzie nie znać, żeby Byron był na niego działał i wpływał, a zapytaćby można, czy

w tej pierwszej młodości miał on już tę znajomość literatur zagranicznych, która później tyle mu dodała światła i tyle zasługi? bo jak zapamiętał do Byrona, tak i zapamiętał do Schillera lub Götthego nie można się w nim dopatrzeć. W latach późniejszych miał widocznie większe upodobanie w jaśniejszych, pogodniejszych, słonecznych poetach południowych: tłumaczył Greków, i Rzymian, i Włochów, pomijając Anglików i Niemców, a za młodu choć się sam wyznawał namiętnym i fanatycznym romantykiem, nie napisał przecież nic, co by się do ich wpływu odnieść dało, a tłumaczył ich tak mało, że jeden zaledwo wiersz Schillera (Hero i Leander) i jeden Byrona (Rozstanie się z żoną) dało się dotąd wysledzić.

Że otoczony całą nową poezją polską i nią zachwycony, sam dla siebie o przyszłości poetyckiej marzył, nie można wątpić; a równocześnie, jak całe jego pokolenie, marzył o innej większej nie swojej tylko przyszłości, palił się do walki ważniejszej niż walka romantyków z klasykami. „Minał rok, „mija drugi“ (jego pobytu w Odessie, opowiada sam w zbyt niestety małym zeszyciku, w którym w ostatnich dziesięciu latach zapisywał czasem niektóre swoje wspomnienia lub wrażenia) — „gdy gruchnęła wiadomość o powstaniu w Warszawie. W trzy dni już byłem gotów do drogi i pędziłem „prosto do Krzemieńca, wszakże bez pasportu.“ Ze strachem, bo bez pasportu, ale bez przeszkody dostał się w grudniu do Galicyi, do swojej wujenki i przyjaciół państwa Uruskich z Juśkowie. „Tam przybył Wincenty Wileczyński „z Podola, żeby ztamtąd wyruszyć do Królestwa. Gdy i mój „zamiar był nie inny, więc ruszyliśmy razem, i pewnej nocy „dosiadłszy koni a bagaże spakowawszy w juki, przeprowadziliśmy się przez granicę. Towarzystwo nasze powiększyło „się już na samym wychodnym przybyciem Edwarda Dulskiego i Stanisława Przyłęckiego; doliczywszy do tego słujących, było nas z dziesięciu ludzi i z piętnastu koni.“ Tyle o tem przejściu granicy, i tyle, niestety, o całej kampanii. A i w jego pismach tak mało z niej śladów, że dojść trudno, które i czy jakie w ogólności z jego wierszy pochodzą z tego czasu. Czasem tu i owdzie rzucone jakieś wspomnienie tego lub owego towarzysza, albo pobieżna bynajmniej nieopowiadająca wzmianka o wzięciu w niewolę, —

w wiele lat później (1845) ogłoszone wspomnienie osoby, która w tej niewoli w Żytomierzu była opatrzącością, *Cichym Aniołem* jeńców (panny Joanny Boeckowskiej później Kwiatkowskiej), i przy tej sposobności w krótkich słowach wiadomość o sobie, że zrazu za staraniem tejże Joasi wypuszczony na porękę, w niedługi czas został uwolnionym i zamiast na Sybir wyjechał do Galicji; oto wszystko co z tych lat i wypadków o sobie zapisał.

Czynność jego literacka zaczyna się dopiero z tym powrotem do Galicji.

„Z początkiem roku 1835 osiadłem we Lwowie i wszedłem w świat literacki ówczesny, który składał się z bardzo „szczupłej liczby pracowników na tej niwie. Bielowski wyszedłszy z więzienia (1836) osłodził mi jałowe życie tego „miasta. Z nim razem zaczęliśmy robić różne literackie „projekta. On w więzieniu napisał był poemacik w rodzaju „*Zamku Kaniowskiego*, w którym były bardzo piękne ustępy, ale całość niezbyt interesująca. Może sam to postrzegł, „bo go nie drukował dotąd. Przełożył także kilka ruskich „dumek i złożył przepyszny rapsod o *Henryku Pobożnym*. „Ja miałem wiele dumek przełożonych, więc razem postanowiliśmy je wydać. Ale gdzie to zrobić? We Lwowie cenzura „była niedostępna; wydaliśmy je w Pradze. „Równocześnie drukował się tam drugi tom noworocznika „*Ziemonia*, do którego dałem był parę powieści i poezyj, „lecz gdy egzemplarze nadeszły do Lwowa, skonfiskowała „je policja. Dumkom groziło to samo. Cenzura wyrzucała „z *Rozmaitości* moje najniewinniejsze wierszyki, a o założeniu nowego pisma nie dało się pomyśleć. Ja sam zebrałem „był na dwa tomy różnych artykułów i chciałem je drukować luźnemi tomami, lecz i na to nie pozwoliła cenzura. „Jakie było jej prześladowanie, można się z tego domyśleć, „że gdym wydał w Krakowie (r. 1836) mój przekład Rękopisu Krółodworskiego, pociągano mnie do policji i robiono „ze mną protokół, chociaż oryginał tyle razy był drukowany „w Austrii.“

Było ich więc już wtedy wiele tych poezyj, przykładów, artykułów lub powieści, ale które to były? które z pierwszego zbioru jego poezji, ogłoszonego już na emi-

gracyi (w roku 1844), przywiezione były z kraju? O małej tylko liczbie twierdzić można po widocznych i pewnych cechach, że pisane były za granicą; a wiele ich z kraju wywiózł i które, rozpoznać jest trudno. W każdym razie po tych początkach można już dokładnie poznać i właściwe jemu przymioty, i zakres jego twórczości, i wpływ jaki na niego wywierał współczesny ruch literacki. Już język i styl w prozie czy w wierszu jest doskonały, przejrzysty, prosty, swobodny; już widoczna zdolność przejęcia się każdym tonem i powtórzenia każdej formy; już i ta ciekawość do dawnych ludzi i rzeczy i zdolność ożywiania ich i wskrzeszania, która później tyle dodała wagi jego dziełom, a teraz okazała się świetnie, choćby tylko w małej prozaicznej powiastce, drukowanej właśnie w tej *Ziemonii*, którą wspomina; powiastka jedna z najładniejszych, jakie napisał, *Ogrody i Poeci*, w której na tle ukraińskiej natury, opisywanej z własnych wspomnień i wrażeń, stawia postacie zajmujące i szczęśliwie szkicowane autora *Zofijówki* i jej właściciela. Jedna drobna scena, ale jakie w niej życie, jaka żywość w tych opisach, jaka bezwiedna może sztuka w zakończeniu. I jest już wtedy dar jego jeden z najcenniejszych, zmysł artystyczny i znajomość może podówczas instynktowa tylko niewyrozumowana, ale już pewna, granic własnego talentu. Ten młody poeta nie produkuje jak inni powieści poetycznych ani fantastycznych dramatów, nie kusi się o Wallenroda ani o Dziady, o Manfreda lub Korsarza, pisze drobne wierszyki, na które stać go zupełnie, w których naśladowcą być nie potrzebuje, albo tłómaczy. A co tłómaczy? Wybór jest charakterystyczny. Albo dumki, albo jakieś odwieczne bohaterskie rapsody. Jest wiernym wychowawcą szkoły, która w pieśniach i podaniach ludu szukała odrodzenia poezyi, a oprócz tego jest ciekawy, chce poznać i dać poznać to, co dalekie, nieznane, o czem nikt nie wie. Co za rozkosz odkryć i wydobyć na jaw nowe nieznane piękności! Wreszcie ma ten zmysł trafny, który mu każe szukać piękności w tem, co najprostsze, a ten urok pierwotnej prostoty sprawił to, że zawód swój poetyczny, który zamknął tłómaczeniem Odysei, rozpoczął przekładem *Krółodworskiego Rękopismu*.

Z wyjątkiem podobno jednego Giaura, nie do owej chwili nie było tak pięknie na język polski przełożonem. W późniejszych latach mówił Siemieński o oryginale z pewnem lekceważeniem, zdawało się, jak żeby z wiekiem nabrał był jakichś co do jego autentyczności powątpiewań czy podejrzeń. Czy słusznie? nie mamy prawa ani podstaw do sądzenia. Ale gdyby nawet słusznie, to wartość oryginału nie wpłynęłaby jeszcze na to, co stanowi wartość i zaletę przekładu, nie zmieniłaby szczęśliwej obrazowości i jakiejś jędrnej siły, jakiejś szorstkiej pierwotnej prostoty języka i stylu, które sprawiają, że całość a zwłaszcza ustęp „Zabój, Sławój i Ludiek“ ma taki dziwny koloryt, jak żeby przedwieczna jakaś przeszłość stanęła w swojej postaci i mówiła swoim własnym głosem. A ten koloryt nie jest skutkiem archeologicznych studyów, ten język, z wyjątkiem niektórych wyrażzeń wziętych z najdawniejszych jego pomników, nie jest archaistycznym: to język dzisiejszy, żyjący, tylko tak umiejętnie użyty, słowa tak zręcznie dobrane i ustawione, że do żadnej z osobna epoki ten język nie należy, a może przez swoją jędrność i prostotę należeć do najodleglejszej, najprywatniejszej. Człowiek mniej zdolny, obdarzony smakiem mniej trafnym i delikatnym, byłby się starał o język przestarzały, byłby studyował pisarzy XVI wieku, i Zabój i Sławój byłby u niego mówił tak, jak mówiono za Zygmunów. Siemieński choć jeszcze nie doświadczony, czuje, że nie znajdzie nigdzie wzoru ani pomocy do naśladowania, że własnym tylko instynktem, intuicyą, musi odgadnąć i stworzyć język, któryby w ustach pogańskich Słowian brzmiał naturalnie i prawdopodobnie. Ale go odgaduje i stwarza szczęśliwie i robi przekład, który, od wartości oryginału niezależnie, jest pod względem formy jedną z doskonałości naszej literatury.

Około tego rapsodu większych rozmiarów grupuje się wiele przekładów mniejszych pieśni najrozmaitszego pochodzenia i charakteru. Pociąg do poezyi gminnej i chęć przyswojenia jej artystycznej literaturze polskiej musiały trwać długo, bo pieśni bretońskie naprzykład, albo hiszpańskie, albo duńskie, przypuszczać można, że poznał i tłómaczył już na emigracyi; może i do serbskich zachęcił go przykład Mickiewicza, który w kursach swoich mówił o nich tak dużo

i pięknie. Ale przekłady pieśni ruskich, które może nie wszystkie są przekładami, ale po części przerobieniami lub zupełnie oryginalnymi utworami z ludowych motywów i z ludowym ruskim zakrojem, te oczywiście powstawały jeszcze we Lwowie, skoro sam tłómacz to mówi. A są pomiędzy nimi takie, które Krółodworskiego Rękopismu godne są zupełnie, a mają nad nim tę wyższość, że są skończonemi całościami: *Wesele kniazia Włodzimierza* na przykład (Skarbczyk Poezyi Polskiej. Petersburg, nakładem Wolffa. Tom II str. 125—138), albo *Wyprawa Chmielnickiego na Multany* (tamże str. 147). W mniejszych dumkach, jak *Trzy kukulki*, *Zaprzędana*, *Branka tatarska*, *Kniaź Dymitr Wiśniowiecki*, ma taki charakter smętny i taki wiersz dźwięczny, że możnaby je przeczytać po najładniejszych dumkach Zaleskiego, po Mazepie lub Kosińskim, a nie poznać, że są innego pióra.

I to jest cechą tych jego wierszy z pierwszej a nawet z drugiej epoki, że wszystkie mają formę bardzo piękną i skończoną, a każdy przypomina jakąś formę już istniejącą. Znać młody autor ma tę wrodzoną zdolność przejęcia się tem co widzi i czyta, i nie myśląc, nie wiedząc o tem, nie starając się, tworzy w tym samym rodzaju i podobnie. Nie naśladuje, tylko jeszcze nie dojrzał zupełnie, własna indywidualność jeszcze nie miała czasu wyrobić się doskonale i nie wybija na dziełach swoich cech oryginalnych, a posiada już w bardzo wysokim stopniu to uzdolnienie artystyczne i techniczne, które sprawia, że językiem i wierszem włada już podług woli i nadaje im każdą z tych form, jakie na świecie widział. Do większych kompozycji się nie rwie, tworzy co najwięcej małe rapsody lub obrazki historycznej treści, ale te udają mu się doskonale, i dziwna rzecz, że tak mało są znane. Naprzykład *Trąby w Dnieprze*; owoc może tych długich prac nad *Wyprawą Igora*, z Bielowskim wspólnie i na własną rękę, bo w piękniejszym stylu i wierszu koloryt bardzo podobny. *Wyprawa Warneńczyka* znowu, to jak żeby jaki stary rapsod serbski, tylko włożony w formę, która pierwotną być nie przestała, a stała się wykończoną. *Samuel Zborowski*, rozmiarami największy, obejmuje dwie sceny: w pierwszej bohater jest atamanem na Niżu, pełen siły, zu-

chwałości i nadziei wielkich losów w przyszłości; w drugiej idzie na śmierć, a burza, która się właśnie zrywa, przypomina mu tę, którą niegdyś przeżył na morzu Czarnem, wśród której milczał i nie oskarżył się, kiedy stary jakiś znachor mówił, że na okręcie musi być grzesznik i wzywał go do wyznania win. Inny, mniej winny, oskarżył się i był rzucony w morze, on zataił, a teraz za to gorszą ponosi karę i hańbę. Ten Samuel jeden zakrawa na powieść poetyczną, jak ją stworzył Byron i pisali wszyscy poeci tego pokolenia. Jest znowu legenda, *Sen Pasterza*, spokojna i kościelna tak, że przedmiot stworzony dla Pola i forma nawet przypomina jego legendy. Świętobliwy i pałający miłością ojczyzny pasterz, Woronicz, budzi się ze snu i copędzej posyła do Zamkowego kościoła swego kapelana, bo tam w kościele uboga jakaś niewiasta powiła syna; trzeba jej dać pomoc a jego ochrzcić, bo

„ów chłopiec to nasz zbawca księże,
„co się rozprzęgło, on napowrót sprzęże.“

Widać musiała krążyć podówczas legenda o takim Woroniczu śnie czy przeczuciu, niesprawdzonem.

Ta sama rozmaitość i to samo podobieństwo form i ten sam wdzięk w jego drobnych wierszach. Zawsze jest w nich myśl własna, rozumna i piękna, zawsze dużo uczucia, zawsze styl w harmonii doskonałej z rodzajem i tonem uczucia. Ale kiedy jeden przypomni żywo Zaleskiego, inny zdaje się być jedną z Pieśni Janusza.

Na mogile puchacz drżemie,
Puhu! w noc zakrzyczy;
Czej kozackie wskrześnie imię
Na Niżu, na Siczy?!...

Codzień tęsknim, już wiek długi;
A każdy okłaman.
Wróciź sława? wróci drugi
Koszowy Ataman?

Grzmiały nasze samopaly
 Na czajkach, w taborze;
 Syn kozacki starej chwały
 Przepomnieć nie może.

Rdza pojadła szable ojców;
 Rusznice bez kurków.
 Ale serce u molojców
 Nie złąknie się Turków.

To znówu w Sonetach, kiedy mówi naprzykład:

Że za tobą przepadam i cóż ci to szkodzi,
 Gdy przepadam zdaleka milczący jak kamień?
 Przecież ja król wszechwładny w świecie mych omamień,
 Jak śród morskich przestworzy rozbitek na łodzi.

Gdy w tęsknocie za tobą dzień po dniu mi schodzi,
 Gdy oczy wypatruję za wieścią o tobie,
 Gdy gwiazdę powiernicą moich tęsknot robię,
 A imię wiatrom rzucam, i cóż ci to szkodzi?

możnaby myśleć, że to jeszcze Mickiewicz „uciekać i kochać bez nadziei musi“ albo pyta: „ach czemuż nie przejdą łzy moje.“ Jego także, a może pośrednio i Götthego przypomina (formą tylko) bardzo ładny w więzieniu napisany (1834) wiersz *Czy już wiosna*. Rozmowa tam prowadzi się w takim wierszu jak w sławnym *Wędrowcu*, a różnica w poemowaniu rzeczy między poetą a tłumem ludzi zwyczajnych taka, jak w *Romantyczności* Mickiewicza.

A to przejęcie się duchem i formą Mickiewicza przetrwało lata pierwszej młodości, przeciągnęło się w późniejsze emigracyjne, i odezwie się w niejednym wierszu pisanym gdzieś daleko w tęsknocie za krajem. Tak naprzykład bardzo ładny wiersz *Italiam* nie tylko formą, ale i duchem przypomina bardzo Mickiewicza; są w nim wyobrażenia i myśli podobne do tych, które się znajdują w dwóch ostatnich kursach *Literatury Słowiańskiej*. Pomiedzy temi wierszami pisanymi już na emigracyi, jest wiele ładnych, są może

ogółem wzięwszy, ładniejsze od wcześniejszych, ale charakter ich jest inny. Uczucie to samo objawia się w innej postaci. Mniej zajęcia się poezją jako zawodem, jako sztuką, mniej literatury, a więcej tendencji, więcej pierwiastku politycznego. Wyobraźnia mniej zajmuje się przeszłością, a myśl i uczucie wyteżają się za to, żeby odgadnąć i przeczuć przyszłość. To znaczy i dowodzi, że znalazłszy się na emigracyi, Siemieński uległ, jak koniecznie uleść musiał, jej wpływom, a ten ton przecuciowy i przepowiadający, który górował w poezyi emigracyjnej od Dziadów aż do Psalmów Przyszłości, odzywa się w jego wierszach. Niektóre z nich są tylko wyrazem tęsknoty za krajem lub smutku na widok emigracyjnych stosunków czy europejskich wypadków; takie jest *Jutro*:

Serca pojone piołunem,

Dusze boleścią zranione,

Patrzcie na drzewa zielone

Poobalane piorunem.

Patrzcie na chmury, tam w górze,

Jaka z nich tęcza wykwita;

Przejdą pioruny i burze,

Jutro nas słońce powita.

Pielgrzymom do ziemi słońca,

Gościniec zaległy głazy:

Majaczą wody, oazy,

A piaski, piaski bez końca.

Czy dojdziem, czy nie? — iść trzeba

Ku gwiazdce, co tam przybita!

Krok jeden — zdejmiem ją z nieba:

Jutro nas słońce powita.

Jutro — lecz jakże dziś przeżyć

Tę noc, bez chleba, przytłaku?

Patrzajcie, iluż w tem kółku

Przestaje w to jutro wierzyć!

A przecież lada jagódka

Może nakarmić do syta,

Przytulić trawka mięciutką —

Jutro nas słońce powita.

O wierzmy! tylko niewiarą

Pielgrzymy w tych puszczech giną —

Burze i noce przemina,

I ty się skończysz, Saharo!

Kto o swą drogę gwiazd pyta,

Bóg mu otworzy lazury;

Niewiernym da noc i chmury —

Jutro nas słońce powita.

Albo *Za czem wdychasz:*

Mamo! ty wdychasz za lepszym gdzieś krajem,

Mówisz: tam będziem szczęśliwi i wolni,

Żyli jak kwiatki, jak ptaszkiwie polni —

I czemuż my tu zostajem?

Powiedz mi mamo, kędyż takie życie,

Czy tam, gdzie w polu pomarańcza rośnie,

Cały rok wiosna i lato po wiosnie? —

— Oj, nie tam dziecię! —

To może mamo, tam, jak w książce pisze:

Kędy w upały chłodek nieustanny;

W szklanych pałacach wciąż biją fontanny,

Sto dziewic do snu kołysze?

Gdzie rajskie ptaki siedzą na palm szczycie;

Perły wyrzuca na brzeg morze samo,

A rzeki złoto — czy tam wdychasz mamo? —

Oj, nie tam dziecię! —

To wiem, ty wdychasz na twoje Podole,

Za temi łąny, co się kłosem chwieją;

Za białym dworem -- i lubą nadzieją

Ośladzasz nieraz twe bole.

Nie bierz mię z sobą, tam — śnieżne zamiecie
 I kruków stado ślania się nad groby —
 I ty tam wzdychasz do ziemi żałoby? —
 — Nie wzdycham dziecię;

Lecz wzdycham, synu, za ojczystą stroną —
 Oby w wiosennym odżyła powiewie;
 A wszystkie ptaszki na rodzinnem drzewie
 Witały wiosnę wróconą.

Wtenczas już, synu, nie westchnę daremno!
 Będziem wśród swoich szczęśliwi i wolni,
 Żyli jak kwiatki, jak ptaszkiwie polni —
 Dziś, wzdychaj ze mną! —

Albo Pocięcha:

Nie skargami, ani łzami
 W kres wznioślejszy dążyć nam;
 Łza i skarga jak rdza plami,
 Nie przemoże piekła bram.

Jeżeliś prawdzie przysięgł wiare,
 Pod jej znakiem walkę wiódł;
 Dziś, choć gorzką pijesz czare,
 Dla potomków składasz miód.

Oj, nie trudem kilku chwilek
 W świat, atomy można zlać;
 Szczęście wspólne, nie motylek,
 Wieki rośnie, aby trwać.

Żle na losy zdać się z wszystkim;
 A gdy zdasz na losy coś,
 To coś jeszcze pal ogniskiem
 Własnej siły, duchem wznos!

Gdy wytrwanie nie przemoże,
 Nie powstanie Polska z nas;

Wtedy zamień nas, o Boże!

W jeden wielki ból gład?

Albo *Do Renu*:

Wody Renu zielone,
Czemuż, czemuż nie w stronę
Mej Ojczyzny płyniecie?
Jabym codzien jej w darze
Puszczał myśli — korsarze —
Jak swe czółenko dziecię.

Jabym codzien w twe zdroje
Mieszał skargi, łzy moje
Wraz ze łzami tułaczy.
Niemi fala wezbrana,
Niechby w pałac szatana
Niosła potop rozpaczy.

Lud pijący twą wodę,
Pilby Alpów swobodę —
Dziś spragniony umiera!
Onaby mu śpiewała,
Że w kołczanie jest strzała
Na każdego Geslera.
Renie, Renie zielony!
Czemuż nie płyniesz w strony
Mojej ziemi, mej matki?!
Nie obciążysz swe fale —
Nie chcesz zemsty, nieś żale
I na grobowiec kwiatki.

A Ren na to: Cyt synu!
Zanim przyjdzie do czynu,
Niechaj wam duch urośnie.
Wprzód lód stopić i śniegi,
Potem wylać na brzegi;
Tak Ren robi o wiosnie.

Serc i duchów płomieniem
 Wzniescie się nad zgorszeniem
 W szczyt sztrasburskiej wieżycy —
 Wtenczas porzucam łożę,
 Was na grzbiecie przewożę
 Aż do Wisły siostrzycy,

Inne i najładniejsze może, jak *Pamięć serca* a zwłaszcza *Zakłęte koło*, mają dość u niego rzadki charakter osobistego zwierzenia. Ale większość pisana jest z jakąś bezpośrednią tendencją; znajdzie się tam i wiara w szczęśliwe skutki spisków kierowanych z Wersalu czy Londynu, i ślad niejednej z ówczesnych emigracyjnych nieufności czy niechęci, i jakaś pewna wiara w szczęśliwą przyszłość i śmiałe jej przepowiednie, i wreszcie zwrot religijny bardzo wyraźny a podobny nieco do tego, jaki się daje widzieć w tych latach u Mickiewicza i Słowackiego. Dziś wydają nam się dziwnymi te jak żeby echa mów i broszur Towarzystwa demokratycznego, te gromy rzucane na wszystko, co mu się wydaje arystokratyzmem lub konserwatywnem, te złośliwe a niesprawiedliwe przytyki do księcia Adama Czartoryskiego i jego przyjaciół. Ale podówczas było to zupełnie naturalnem u człowieka młodego i gorących uczuć, a połączonego znajomością i przyjaźnią z niejednym z tych, którzy urządzali i wysyłali emisaryuszów; było naturalnem, że ten człowiek młody jeszcze i poeta, zbliżywszy się do Mickiewicza, uległ jego wpływowi i na czas jakiś krótki przejął się jego messyanizmem. A dziś owszem, ślady te różnych dróg jego ducha są, naprzód ciekawe do śledzenia, a powtóre uczą i każą szanować go lepiej, bo pozwalają przekonać się naocznie, jak rzetelnie, jak energicznie i jak szlachetnie duch ten dążył do prawdy i jak się do niej coraz zbliżał. Z jego prac poetycznych na emigracyi najsłabszą zapewne będzie *Switezianka*, fantazya dramatyczna, w której ta sama zawsze zdradliwa wodna bogini pod różnemi postaciami kusi młodego śmiertelnika, aż go w końcu psuje i gubi na wieki. Najwięcej znaczące, duchem najpodobniejsze do całej ówczesnej poezyi wieszczej i proroczej, są *Trzy Wieszczby*, w których Siemieński także, jak Mickiewicz, jak Krasiński, jak wszyscy

podówczas, stara się przedrzeć wzrokiem przez zasłony przyszłości. Tylko on nie snuje przepowiadań sam z siebie, obrabia tylko w trzech kolejnych obrazach takie, które były lub być miały. Pierwsza i jako obraz najładniejsza może ze wszystkich, to Zygmunt August umierający, który każe dworzaninowi przeczytać sobie jakieś proroctwo, napisane dla niego przed laty przez świątobliwego Opatą z Jędrzejowa — te całe dzieje Polski aż do rozbioru, które król przed śmiercią widzi z goryczą i strachem; druga wieszczba to w scenie dramatycznej znane proroctwo księdza Marka; trzecią jest przepowiednia Wernyhory, wszystkie razem przypisane osobnym wierszem *naszym wieszczom*, których jest powołaniem i obowiązkiem utrzymywać i rozniecać święty ogień patryotycznych natchnień, i sprawić żeby się wieszczby ziściły.

Ciekawem a może jedynem świadectwem wpływu, jaki na wyobrażenia jego wywarł messyanizm, jest mała broszurka (wydana w roku 1845) pod tytułem *Pomysły o harmonii społecznej*. Jestto dochodzenie (a jak autor podówczas zapewne mniemał) i sformułowanie tych prawd podstawnych, na których ludzkość oprzeć się ma, żeby dojść do szukanego podówczas przez wszystkich ideału wolności i sprawiedliwości. Droga, którą do celu tego każe dochodzić Siemieński jest bardzo bliska tej, którą wskazywał Mickiewicz.

„W chwili, gdy reforma zasadnicza w wyobrażeniach i składzie społeczeństwa staje się nieodzowną, wtedy odbywa się objawienie we wszystkich wyższych umysłach, które Opatrzność przeznacza ku zbawieniu ludzkości; ludzie ci tem są więksi, im więcej ich przenika duch Boży, to jest, iż wyobrażenia ich i nauka rozleglejsze zajmują pole i ściślej odpowiadają naturze i potrzebom człowieka. Napróżno Deisci zarzucają, iż to wmięszanie się Boskie nie jest zgodne z odwiecznymi prawami, jakie kierują sprawami świata: wszystkie bowiem prawa muszą mieć swoich posłanników, którzy je wykonywają i do których po objaśnienie się odnoszą. W każdej epoce, która potrzebowała odnowienia społecznego przez odnowienie wyobrażeń, pojawiali się mężowie, którzy uczynili zadość tej konieczności. Nieinaczej, w epokach przesilen w czasach ciężkich doświadczeń, przez które prze-

chodził ród ludzki, objawia się ta prawda historyczna, iż najważniejsze czyny w życiu wewnętrznym i zewnętrznym narodów regulują się i utwierdzają, nie przez lud działający masami, lecz tylko przez kilku ludzi wyższych, prawdziwych messyaszów i zbawicieli. Działanie mass zawsze jest burzące, a tylko mężowie obdarzeni czuciem, życiem wieku, u których słowo stało się ciałem, zdolni są coś zbudować dla ludu. Znalazłszy się np. w takim okresie, gdzie już geniusz nie umie ani się poznać na swoim instynkcie, ani iść za nim, bo zwątpienie i niesmak opanowały duszę; gdzie nic wielkiego się nie dzieje, gdzie wszystko się waha i chodzi omackiem, owoż, kiedy się czasy wypełniają, kiedy godzina uderzy, wtedy Bóg w najdoskonalszej swojej istności wydziela część ducha i przelewa go w zbawców świata, którzy obdarzeni wszechmocnością geniuszu, gorejąc poświęceniem się dla prawdy, jedną prawicą odpychają zwodnicze pokusy przeszłości, a drugą łącząc w pęk harmonijny pomysły nowego objawienia, opierają je na silnych i trwałych kamieniach węgielnych.“

Jest i rozdział cały występujący bardzo wyraźnie i w duchu Mickiewicza zawsze przeciw kościołowi katolickiemu, który „zamknął miłość chrześcijańską w ciasne kółko jałmużny,“ — a obok tego ustęp energiczny aż prawie namiętny przeciw „wyobrażeniom niesłusznie ochrzczonej liberalnemi.“ „Fałszywy ten liberalizm należy do najopłakanych zbroczeń umysłu naszego w czasach dzisiejszych. Ztąd to, że złemi i kłamliwymi środkami dążą do dobrego celu, panuje takie w obozach ich zamieszanie, tyle różnych powstaje stronnictw, ile namiętności wre w duszach, ile się pycha na pychę przesadza; po pismach swoich trąbią postęp, a w gruncie nie zrobili żadnego, gdyż cała ich czynność ogranicza się na walczeniu pomiędzy sobą potwarzami i czernidłami, w najgorszej wierze i bez żadnego sumiennego przekonania. Co więcej, ludzie ci przyszedłszy do jakiej władzy, byliby może okrutniejszymi tyranami, niż są ci, przeciw którym powstają; a to z tej przyczyny, iż nie dają żadnej rękoi, iżby pracą ducha, zwalczaniem złych namiętności, wyprzedzili swój wiek i wzniesli się nad pospolitych ludzi. Skoro doktryna jakowa nie ma niewzruszonej

podstawy, zawsze jest przemijającą, a najczęściej szkodliwą. Ci panowie bają nam ciągle o formach rządu, jakby to taka lub owaka forma zapewniała szczęście narodu, jakby to ona nie była zupełnie zawisłą od więcej lub mniej wyrobionej idei o dobru w massie myślącej?

Nie masz nic szkodliwszego nad ten fałszywy liberalizm; — bo podobnie jak fałszywa religijność frymarczy sumieniem, tak i fałszywy liberalizm frymarczy najświętszymi wyobrażeniami o miłości ojczyzny, o równości obywatelskiej itp.“

Zakończenie zaś, esencya całego dziełka, jest ta:

„Z ręką na sercu przyznajemy się, że każdemu z nas dwóch rzeczy brakuje: wewnątrz czystej i gorącej wiary, a zewnątrz ducha ludzkości. Sceptycyzm toczy jak robak dzisiejszą społeczność, a samolubstwo najechało ją z całą zgrają podłych namiętności. Wszyscyśmy z tego względu winni, wszyscyśmy zgrzeszyli, i ten, co to pisze, nie czuje się mniej wolnym od winy. — Wiary nam trzeba; ona to znosi nam z nieba i rozwija w nas wyobrażenia o szczęśliwości, o doskonałości idealnej, którym nie ma równego w życiu, a które są rękojmnią życia w przyszłości. Wiara jest światłem i poezją życia; kto ją niszczy, ten zrywa łańcuch wiążący człowieka z wiecznością. Wiara jest zasadą całej ludzkości, gdyż ją ustawnie ku Bogu powołuje, w którym powinniśmy się łączyć i po tej i po tamtej stronie grobowca. Pytam, jakąż wartość miełby mogły wszystkie nasze zasady moralności, polityki, gdyby było fałszem, że człowiek do Boga powinien wszystkimi siłami dążyć? Żywiol zatem religijny konieczny jest, aby ustawy nasze miały jakąś wartość, aby wyobrażenia miały punkt oparcia. Dobrze pewien znakomity mąż powiedział: że jak człowiek zatopił się tylko w swoim rozumie, a Boga odsunął, tak też i został samotny, i tylko siebie musiał ukochać, a jak zerwał związki łączące doczesność z wiecznością, tak też mu nie została tylko spuścizna cielesna i ziemską; zatem dobry byt i złoto, co ten byt daje, są jedynymi celami bytu wychodzącego z zamętu i wracającego do nicości. Jak uwierzył w rozum, a nie w duszę, tedy i krzyk sumienia i urok sympatyj,

wszystkie te skarby radości i łez, pochodzące z uczucia, muszą ustępować grubym zmysłowym popędom.

Taki to, nie inszy jest stan społeczeństwa dzisiejszego, z małemi wyjątkami: wogóle wiara religijna jest wstrząśniona, zużyta i niewystarczająca nowym pojęciom. Przyczyna ostygnięcia dusz pochodzi ztąd, że Kościół wyrzekł się postępu czyli rozwijania zupełnego nauki Chrystusowej. Filozofia, uważana pospolicie za nieprzyjaciółkę wiary, od pewnego czasu wzięła na siebie obowiązek podnosić jej państwo, oczyszczając ją ze śniedzi średniowiecznej i oswabdzając od potwornych przesądów. Lecz pytanie zachodzi, czy będzie w jej mocy wlać w serca nowe pojęcia, które rozbudziła i rozbudzi jeszcze w umysłach? Potęga człowieczego rozumu jestże zdolną przekształcić obyczaje, napełnić gorącością dusze, na miejscu egoizmu poświęcenie postawić? Wątpię, bardzo wątpię, ażeby prawdę ludzie uznali i przyjęli powszechnie, musi takowa zstąpić z nowym odkupicielem z wysokości niebieskich, inaczej będzie tylko systematem, nie zaś religią. — Tymczasem, zdając się na wyroki Opatrzności, nie zapominajmy: że jeżeli nauka i umiejętność oświeca, tedy miłość spaja i jednoczy; jeżeli filozofia przemawia do rozumu, jedna tylko wiara mówi do duszy.“

We wszystkim, aż do potrzeby nowego odkupiciela zgadza się on z Mickiewiczem. Ale zarazem w tem zamieszaniu pojęć, widać już pewien zwrot dokonany i zaród już gotowy późniejszych Siemieńskiego przekonań. Jeszcze parę lat pierwiej nie byłby on tak rozróżnił pomiędzy prawdziwą miłością ojezyny i wolności, a tym jej fałszywym pozorem, który jedną i drugą frymarczy. W parę lat później nie myślałby i nie mówił o Kościele tak, jak tu mówi, ale już teraz życie religijne, związek z Bogiem jest pierwszą potrzebą jego duszy i jego wyraźnie świadomym obowiązkiem. Jest wiersz bardzo pod tym względem charakterystyczny, bardzo piękny jako wiersz, a w treści swojej taki, że i w ostatnich latach życia mógłby był taksamo go napisać, to *Czas do Boga*.

Ziemiąskim potęgóm tylem się nasłużył,
Napalił ofiar z czynów i uniesień;

Jam się mojemu Bogu tak zadłużył,
 Jako ten rolnik, gdy nań wczesna jesień
 Razem uderzy, a pole odłogiem — —
 Czas było z Ojców połączyć się z Bogiem.

W strasznych ciemnościach długo się chadzało,
 A choć wśród cierpień i jęku rozpaczy,
 Na promień łaski człek baczył tak mało,
 Tak bezrozumnie dufał w szal junaczy,
 Że myślał niebo zwalić pychy rogiem.
 Czas było z Ojców połączyć się Bogiem!

Odkądem z starą wziął rozbrat osobą:
 Ścieżki mych Ojców, jako drogi mlęczne
 Widzę za sobą, i widzę przed sobą
 Ścieżki przyszłości ni to tęcze śliczne.
 Czemużem chodził w przeciwieństwie srogiem,
 Czemużem z Ojców nie łączył się Bogiem?! —

Drobneż, ach drobne te mędrków rachuby,
 Jak pył kurzawy, którą szatan wznieci;
 A ta ich wolność — to na duszę śruby,
 W miłości ojca najwolniejsze dzieci;
 I głów nie ugną, nie klęką przed wrogiem —
 Czas nam, czas bracia połączyć się z Bogiem!

Kto wiarą idzie, zwycięstwo z nim kroczy;
 Wódz trzyma duchy na ostrzu swej stali;
 Naród ogarnia jakiś duch prorocy —
 Co odbuduje, nieprędko się zwali;
 Święci za ziemskim pomagają progrom:
 W wierze, miłości połączmy się z Bogiem! —

To zdaje się być pewnem, że jak nabierał w tych latach głębszego pojęcia swojego jestestwa i swoich obowiązków, tak i w pismach swoich zwracał się na drogę praktyczną, szukał pożytku, służby, skutku. Może znowu wpływ Mickiewicza, który poezją, sztukę, i wszystko co ziemskie, uważał za marność, a to tylko za dobre i potrzebne, z czego

się prawdziwej mądrości można nauczyć, ale Siemieński nie przestając taksamo piękności i sztuki cenić i wielbić, zaczyna mniej zajmować się poezją, a w prozie więcej uczyć siebie i drugih. *Pomysły do harmonii społecznej* były pierwszym a cokolwiek chorobliwym symptomem tego zwrotu; jego dojrzałym wyrazem były te prace prozaiczne, których dokonał za swego pobytu w Wielkopolsce (1843—46), a których punktem środkowym były *Wieczory pod lipą*. Uczyć historii polskiej, krzewić i szczepić jej znajomość i jej miłość zwłaszcza między ludem, apostołować, służyć praktycznie, to był cel. Ze stanowiska historycznego wiele zapewne dałoby się książce tej zarzucić, a dziś nawet zarzucać łatwo, bo krytyka historyczna a przez nią prawdziwa znajomość dziejów, zrobiła wielki postęp i wiele rzeczy ukazała w świetle innem zupełnie niż to, w którym je wtedy widziano. Ale ze stanowiska literackiego podziwiać trzeba tę wszechstronną zdolność pisarza, który przeszłością swoją zupełnie do tego nieprzygotowany, wziął się do trudnego zadania pisania książek dla ludu i napisał tak, że dzieło może uchodzić za wzorowe prostotą, jasnością, zrozumiałością i pięknoscią sposobu pisania. Ale ten umysł wielostronny i rzutki, wszystkim wrażeniom przystępny, umiał wiele rzeczy naraz objąć, wieloma się zająć, a najpoważniejsza praca myśli czy pióra, najpiękniejsze chwile natchnienia, nie przeszkadzały mu zajmować się lżejszemi, weselszemi. To właśnie cecha i to wdzięk jego natury, że tak umiał wszystko łączyć, że był zdolny równie dobrze śmiać się i bawić, jak myśleć, pracować i cierpieć. W tych samych czasach, kiedy przechodzi najcięższe walki wewnętrzne i sam w sobie wyrabia stopniowo skład swoich wierzeń zasad i przekonań, kształci się także w swoim właściwym zawodzie, w znajomości i znawstwie sztuki. Ten zmysł artystyczny, ten szczęśliwy instynkt, z którym wyjechał był z kraju, teraz wsparty nauką i rozumowaniem a wyostrzony patrzaniem na rzeczy piękne, staje się pewnym, umiejętnym sądem. Nie ginie też i to upodobanie w starych czasach, ta ciekawość anegdot i drobnych szczegółów i dar stworzenia z szczupłego ubogiego materiału, ładnej, prawdziwie artystycznej powieści. *Muzamerit*, zbiór powiastek, datuje z tego samego czasu, a w pismach peryodycznych poznańskich wy-

chodzą coraz nowe artykuły jego pióra w najrozmaitszych przedmiotach, dowodzące, jak go wszystko zajmowało, jak wszystko było mu znanem. Jako rzecz, która go dobrze charakteryzuje, warto zapisać *Przewodnik dla myśliwych*. Jaka jest jego wartość praktyczna, mniejsza o to, ale ciekawy jest widok tego uczonego i poety, który dla takich kwestyj ma czas i współczucie. Ten zasób życia i ta zdolność używania życia, jakie w nim były, nie wyczerpały i nie zaspakajały się samą nauką lub sztuką, samemi wyższemi aspiracyami. Życie powszednie ze wszystkiemi swojemi zajęciami i rozrywkami miało dla niego wielki powab. Ztąd ta widoczna w nim do końca zdolność i skłonność do zajęcia się wszystkiem co na tym świecie żyje, ta sympatya, z jaką gotów jest pisać o zwierzętach i prawach jakie one mają w swojej służbie u człowieka. Ztąd i uwaga i praca, poświęcona ogrodom jako ozdobie kraju i zewnętrznemu znakowi jego cywilizacyi. A jak żadnym przedmiotem nie gardził jako za małym dla swojej uwagi i pióra, tak i w życiu żadna rozrywka nie była mu za małą, czuł sam i umiał dać uczuć, a przez to podnieść wdzięk każdej. Ze wszystkich sam najwyżej może cenił polowanie i trafny strzał do krzyka tak go nęcił i cieszył, jak szczęśliwie pokonana trudność przetłómaczenia Ody Horacyusza lub Sonetu Michała Anioła. I może ta dziwna łatwość w pożyciu, ta zdolność zabawienia się wszystkiem była powodem, że choć przez „uskrzydłone duchy z pędzlem dłótę piórem“ wciąż odrywany od ziemi, na ziemi najmilszym był towarzyszem zawsze i wszędzie, ale nigdzie tak miłym, tak w całej pełni swego wdzięku, jak na wsi i między młodymi.

Na emigracyi dzielił przez czas jakiś zdania tych, którzy oczekując rychłego powstania, dążyli do niego przez spiski, a nadzieję swoją pokładając w ludzie, na szlachtę patrzali z uprzedzeniem, jeżeli nie z niechęcią. Wiedzieliśmy także, że w swoich wyobrażeniach religijnych skłaniał się przez chwilę do messyanizmu. Niebawem zobaczymy, że to wszystko znikło, a jego pojęcia i zasady ustaliły się w tym kształcie, w którym widzieliśmy je przez ostatnie trzydzieści lat jego życia. Pod jakim wpływem odbyła się ta zmiana? Opowiadano nam, że po raz pierwszy zraził się do swoich

politycznych przyjaciół, kiedy po napisaniu a przed wydrukowaniem *Wieczorów pod lipą* dwóch z nich nalegało na niego, żeby wykreślił z rękopismu jakiś ustęp czy ustępy, mówiące o zasługach dawnej szlachty. Jego uczucie polskie oburzyło się na to obdzieranie przeszłości z jej blasków dla dogodzenia stronnicej tendencji, a jego natura rzetelna i prawa oburzyła się na ten pomysł naciągania i przekręcania prawdy. Odtąd zaczął niedowierzać, a rok 1846 obalił do reszty jego wiarę w ten rodzaj polityki i polityków. Czy te same wypadki, to wielkie narodowe nieszczęście, nie wpłynęło u niego i na usposobienie religijne także i nie utwierdziło go, jak innych, w ścisłej katolickiej prawowierności? Być może. Być może także, że przyczynił się do takiego skutku i pobyt w Brukselli, dokąd się udał po wydaleniu swoim z Wielkopolski, a mianowicie stosunek ścisłej zażyłości i przyjaźni z takim filarem katolicyzmu wśród emigracji, jakim był generał Skrzynecki. Powodów dokładnie oznaczyć nie możemy, ale widzimy wyraźnie rezultat, wyrobienie zupełne, i stanowcze już na resztę życia ustalenie się jego pojęć religijnych i politycznych, które się objawiło jasno i wyraźnie, jak tylko w roku 1848 do kraju powrócił.

II.

W ówczesnych wstrząśnieniach po raz pierwszy może stanęła w oczach ludzi myślących tak jasno i wyraźnie ta prawda, że nie może być polityki ani politycznej akcyi bez siły, ani siły bez ładu, ani ładu bez zasad w religijnym i moralnym, bez władzy w społecznym i politycznym porządku rzeczy. Wytworzyć więc pojęcie i poszanowanie władzy, postawić, trzymać i krzewić zasady, na to, żeby dojść do społecznej harmonii, przez nią do siły, przez siłę do własnej polityki, a dopóki własnej mieć nie można trzymać się właściwej, to była dążność i cel ludzi, którzy w mniejszej lub większej liczbie, ale bez przerwy prowadzili starania swoje od roku 1848. Historia polska ostatnich lat trzydziestu zamyka się cała w walce raz mniej raz więcej wyraźnej i gwałtownej ale nieustannej tych przekonań i dążności z przeciwnymi

Opowiadać ją nie tu miejsce i nie teraz jeszcze pora. Dziś obchodzi nas jeden tylko człowiek, ten, który niedawno jeszcze wyglądający z mesyanistami nowego objawienia i objawiciela, niedawno przyjaciel Wersalczyków, dziś stanął na czele jedyne go w tej części Polski podówczas dziennika katolickiego, jedyne go, który miał nietylko miłość ojczyzny, ale i zrozumienie jej położenia i potrzeb, Lucyan Siemieński który w pierwszym numerze „Czasu“ ogłaszał taki dla niego program i takie wyznanie wiary:

Kiedy pismo nowe powstaje, pytać ma prawo czytająca publiczność, z kąd przychodzi, dokąd dąży, jaką sobie misją obiera. Na takowe pytanie nie odpowiemy dziś z góry; niechaj samo o sobie świadczy a nie będzie trudno i ducha onego i dążności odgadnąć. Dlatego jak w programacie naszym wystrzegaliśmy się zbytnich obietnic, tak i dziś po raz pierwszy przemawiając, nie chcemy wytykać drogi, którą postępować mamy.

Pismo codzienne, nie jestto katedra prawa publicznego, aby można całą teorię polityczną rozwinąć; w miarę potrzeby, w ocenieniu wypadków, stanie się ona wydatniejszą, a nie wywola częściej zwykle, bo tylko poszczególnych pytań dotyczącej polemiki. Nie żądamy naprzód zaufania, bo wiemy dobrze, iż zaufanie należy zdobyć: prosić o nie rzecz próżna. Pisarz przemawiający za prawdą, jestto wojownik, jestto kapłan, który walczyć powinien z odwagą i miłością. Zbrojni jedną i drugą, śmiało i z dobrem sumieniem przychodzimy w chwili tak uroczystej, mówić do narodu naszego głosem przekonania, które w nas spokojne zapatrywanie się na rzeczy, a poniekąd znajomość stanu społecznego i niejaki doświadczenie polityczne wyrobiło. Pismo nasze ani jest spekulacją, ani organem stronnictwa.

Wolności druku chcemy używać pocziwie i pragniemy aby nawzajem podobnie względem nas jej używano. Nie wyrzekamy się dla tego pewnej, wyraźnej barwy, bo każda wiara, każde przekonanie silne, muszą być poniekąd wyłącznemi, ale przyjmujemy prawdę, z kądkolwiek przyjdzie, podamy rękę każdemu co nam do celu lepszą wskaże drogę; celem zaś dla nas jedynym, jest pracowanie około odzyskania wolnej i niepodległej Ojczyzny.

Jak niesłychanie trudnem było położenie dziennika, który wychodząc pod ówczesną cenzurą chciał i potrafił być widocznie i nawskroś polskim, a przy tym polskim patryotyzmie nie chciał być rewolucyjnym: jak mądrze i godnie trudność ta była pokonaną w codziennej walce aż do roku 1860, ile było zasług, ile rad dobrych, ile ciężkich krzyżów w historyi tego dziennika, i jak znaczne jednak po ćwierć wieku skutki jego wpływu, to pamiętamy i wiemy. Można pominąć, nie przez lekceważenie ani niewdzięczność, ale dla tego żeby obejmując za wiele, od właściwego przedmiotu nie zboczyć. Siemieński zresztą przez krótką tylko chwilę zajmował się polityczną częścią dziennika: znaleźli się inni których to było wyraźnem powołaniem, a on, zostając z nimi w najściślejszym związku przekonań i sądów, zgodny z nimi w zdaniu o sprawach bieżących, bezpośrednio przecież i praktycznie sprawami temi zajmował się mało, a zamknął czynność swoją w dzienniku i po za nim, na najwłaściwszem sobie polu nauki, literatury i sztuki, w tem swoim prawdziwym z Bożej łaski królestwie.

I teraz zaczęły się naprawdę jego lata nauczania. Katedra literatury Polskiej, którą tak słusznie oddano *Najgo-dniejszemu*, była mu niebawem odjętą, z krzywdą nieobliczoną dla ówczesnej młodzieży i dla chwały uniwersytetu. Ale nauczać mu to nie przeszkodziło, a wpływ jego nauki w piśmie rozchodził się szerzej i dalej, niżby był głos jego dosięgnął. Z katedry byłby kształcił kilka warstw młodzieży w Krakowie, piórem kształcił wszystkich młodych i starych, synów i ojców, uczonych i poduczonych tylko, wszędzie gdzie tylko jest myśl polska i polska mowa.

W tych zapomnianych a tak niezliczonych, że dziś ani o nich wspomnieć nawet można, odcinkach gazety, której każdy arkusz z natury rzeczy ma tylko jeden dzień życia, kryje się tyle i takich skarbów wiedzy, nauki, rozumu, doświadczenia, patryotyzmu, uczucia, dowcipu, że kto do nich zajrzał, ten musiał się zdumieć, a zastanowiwszy się, uznać że ta kropla, która codziennie padała, musiała przecież nieznanie kamień wyźłobić, że ta iskierka światła cicho a często w głowy rzucana, dodając się jedna do drugiej, przecież je znacznie oświeciła. Siemieński sam zebrał niektóre z tych

pobieżnych swoich prac, i wydał je osobno, a kto przeczyta czy *Pogadanki Literackie* (1855), czy *Kilka Rysów z Literatury i społeczeństwa*, ten z tych próbek nabędzie wyobrażenia, jaki jest ogrom i jaka waga jego pracy krytycznej. Od niechcenia, z powodu pierwszej lepszej nowej książki, która często służy mu tylko za pozór i punkt wyjścia, stawia sobie i rozwiązuje najtrudniejsze i najważniejsze zasadnicze pytania, a równocześnie jak nikt przed nim ani dotąd po nim, umie ocenić dzieło, opisać człowieka. Może są jeszcze tacy, co nie zapomnieli jak on po roku 1850, kiedy romanse rodziły się u nas jak grzyby, traktował ważną kwestyą wpływu romansu na społeczeństwo, albo kwestyą artystyczną stosunku historycznej powieści do historii? Jak w czasach, kiedy mnożyć się zaczęły kobiety autorki i ich reputacye, pisał o *znaczeniu kobiet w Literaturze* albo o jednej z nich, o *Deotymie* na przykład, w szczególności. Innym razem dochodzi i tłumaczy co jest w sztuce istotą i co granicą *Bohaterstwa* albo *Gminności*, albo uczy, w czym polega *Tajemnica dobrych tłumaczeń*, tajemnica, którą sam znał najlepiej, albo rozsądza sprawę między Realizmem a Idealizmem, i każdemu z nich mówi czem on jest na prawdę, albo powie o naturze i istocie *tragedyi* albo o malarstwie coś takiego co mogłoby świetnie stać w *Hamburskiej Dramaturgii* albo w *Laocoonie*. A jego krótkie, od niechcenia pisane, i zbyt rzadkie niestety prace i sądy o pisarzach zagranicznych? Jest tam artykuł jeden o Lamartinie i Wiktorze Hugo, tak trafny, tak sprawiedliwy, a tak świetny, że godzienby był tłumaczenia na obce języki, przetłumaczony może sprowadziłby do właściwych rozmiarów te sztucznie wypędzone w górę wielkości. A jego sprawozdania o wystawach obrazów? to jak z jednej strony szkoła smaku i sądu dla publiczności a dla artystów samych rada błogosławiona, tak z drugiej najbogatszy i najcenniejszy materiał do historii polskiego malarstwa. Wszystko, lepsze czy gorsze, zapisane, wszystko opisane, wszystko osądzone i najczęściej trafnie. I to przerzuca się dziś z wielką pociechą, z bardzo miłym uczuciem chwały, bo krok za krokiem i rok za rokiem widzi się i śledzi niezaprzeczony postęp, widzi się, jak coś przecież u nas idzie w górę. O jak nielicznych i jak słabiotkich obrazkach

musi on mówić z względnością, pobbazaniem, uznaniem, w pierwszych latach swoich sprawozdań: o jak wielkich talentach i dziełach może mówić, jak wiele i jak śmiało żądać pod koniec swego zawodu.

A też zapiski z wycieczek po kraju tchnące takim życiem, takim zamięłowaniem, taką szlachetną ciekawością wszystkiego co polskie, i co w Polsce w naturze lub w sztuce piękne a przynajmniej zajmujące; a te pogadanki o niczem, o wszystkich rzeczach i niektórych innych, takie wesołe i lekkie, a takie rozumne, tak iskrzące i śmieszące dowcipem, a tak pełne doświadczeń, spostrzeżeń, wrażeń, znajomości świata i życia. A jego powiastki, częścią przez niego samego zupełnie wymyślone, częścią z cudzych lub własnych wspomnień wysnute? W trzech tomach *Wieczornic* mieści się ich wiele bardzo ładnych (jedna tylko *Panna Respektowa*, tak podobna do Mussetowej *Margot*, że możnaby ją wziąć za nieco tylko przerobione tłumaczenie), a *Mozajka* zbiór powiastek ogłaszanych w *Czasie* (1853) dowodzi, że i pod tym względem dla dziennika skąpy nie był.

Mówiono o nim czasem, że się zaniedbuje, że wprowadzie przyjemny zawsze, bywa niekiedy lekkim i blahym. O zaniedbywaniu się człowieka, który tyle napisał, nie można słusznie mówić, masa jego dzieł dowodzi, że przez całe życie niezmordowanie pracował. Formy też nie zaniedbywał, bo cokolwiek napisał, to zawsze takim językiem i stylem, że go publiczność odrazu poznać musiała, bo nikt inny nie pisał jak on. Zarzut ten więc może znaczyć to jedno tylko, że czasem pisząc w pośpiechu, napisze rzecz dobrą i trafną, ale nie zupełnie gruntowną. Ależ zważyć trzeba warunki i konieczności w jakich się znajduje pisarz oddający pracę swoją do pisma peryodycznego: on musi się zawsze spieszyć, być gotowym na oznaczony dzień i przygotowanym z góry że to co napisze, zaledwo przeczytane, przeznaczone jest na porzucenie i zapomnienie. W takich warunkach ścisłej dokładności i wyczerpującej gruntowności żądać nie można, a dopieroż od człowieka który pracami swojemi zasilał nie jeden swój dziennik, ale trzymany był w ciągłym obłęczeniu przez wszystkie pisma polskie, które się tylko jego szacunkiem i życziwością szczyciły, a wszystkie naraz prosiły żeby im coś

z pióra swego dać raczył. Nie ma się czemu dziwić, jeżeli nie zawsze był gruntownym, nie mógł, a może nawet nie był powinien. Inne były jego przymioty i inne jego przeznaczenie. A do tego musiało być coś wrodzonego w jego naturze, co sprawiało, że praca dłuższa i większych rozmiarów nie zawsze udawała mu się tak świetnie jak mniejsza. Zdaje się, że w tym umyśle żywym musiała być jakaś potrzeba, jakaś niecierpliwość zająęcia się nie jednym tylko wyłącznie przedmiotem i nigdy tym samym długo. *Odyseja* wprawdzie zaprzecza świetnie i stanowczo temu twierdzeniu, ale *Odyseja* jest istotnie wyjątkiem między jego dziełami, a naprzeciw niej stoi *Żywoć Kościuszki* ślicznie zaczęty a nie dokończony; *Przegląd Dziejów Literatury Powszechnej*, i nie dokończony, i wartością a zwłaszcza oryginalnością niższy od jego mniejszych rozpraw i monografii.

Mała rozprawa czy monografia, to co Anglicy nazywają *Essay* i w czem nad innymi celują, mały szkic, w którym podany jest w krótkości żywot człowieka, opisany jego charakter, wytłómaczony jego stosunek do współczesnego społeczeństwa i historii a ocenione jego dzieła, to była forma przypadająca najlepiej do rodzaju zdolności Siemieńskiego, i w niej podobno położył największe zasługi około historii naszej literatury. Naprzód, on tego rodzaju nie stworzył zapewne, ale go do nas wprowadził. Był prawda Szajnocha, wielki mistrz *Szkiców*, ale to były szkice tylko historyczne. Literatura miała swoje monografie pracowite, sumienne, gruntowne, bardzo cenne, ale pisane w pocie czoła, martwe i suche, dla uczonych doskonałe, dla ogółu nie do użycia. Człowiek nigdy w nich nie żył, nie ruszał się, dusza jego nie była wydobyta na jaw z jego pism i pokazana. Siemieński zaczął, jeżeli się nie mylimy, ślicznem opowiadaniem o młodości Brodzińskiego, a przez dalsze lata napisał ich tyle, że aż złożyły się cztery tomy *Portretów literackich*. I dobrze je nazwał; portrety to istotne i doskonałe, w których się widzi fizyognomią a poznaje charakter i duszę dawno zmarłego człowieka. Miał on tę chęć i ten dar odgadywania człowieka z pism, miał to trafne zrozumienie każdej epoki z jej właściwościami i pięknościami, i tę miłość, tę serdeczną, rzewną sympatyą do polskich rzeczy i ludzi z jakiej-

kolwiek epoki, i dlatego tak ich umiał odgadnąć, tak od-
tworzyć, że stoją przed nami jak wymalowani. Od począt-
ków gdzieś XVI wieku zaczyna się ta galerya — Dantyszek
jest pierwszym w szeregu — a kończy się na ludziach zmar-
łych w naszych oczach. Że, jak mówią zbyt skrupulatni sę-
dziowie, tu i owdzie trafi się jakaś w szczegółach życia nie-
dokładność (Księżna Wirtemberska), albo że sąd o dziełach
wypadnie czasem zbyt pochlebnie (Andrzej Morsztyn), mniej-
sza o to, nikt nigdy usterków takich zupełnie się ustrzedz
nie może. Dziwniejsze jest to, że kiedy pisze o największych
i najznakomitszych, Siemieński nie jest tak świetnym, jak
kiedy ma do czynienia z mniejszymi. Jego wspomnienie o
Mickiewiczu i Krasińskim jest zbyt pobieżne i ogólnikowe
na rozprawę, a na wspomnienie cokolwiek chłodne; ani jeden
ani drugi nie jest tak dokładnie i energicznie odrysowany,
jak Trembecki na przykład albo Gaszyński. Może sam przed-
miot, może samo uczucie zbyt silnie wstrząśnięte i konie-
czność napisania czegoś prędko, zaraz, dla dziennika, były
tego powodem. Ale i później, kiedy poświęcił osobną pracę
Religijności i mistyce Mickiewicza, chybił Siemieński celu,
bo dowodził rzeczy dowiedzionej, że Mickiewicz zawsze re-
ligijnie usposobionym był, i drugiej, która nigdy dowiedzioną
być nie może, że w mistycyzm nie popadł ani głęboko ani
na długo. Podobnie kiedy w ostatnim roku życia ogłaszał
kilkanaście niewydanych wierszy Krasińskiego, znowu nie
był szczęśliwym w doborze tytułu, pod którym wydał czy
zbiór cały, czy każdy wiersz z osobna.

Ale ogromna większość tych Szkiców czy Portretów
nosi wszystkie cechy ręki mistrza, a prawie o wszystkich
można powiedzieć, że to nowe odkrycia, bo choć ludzie byli
znani, to nie byli przedtem tak pokazani w całej swojej
prawdzie, wartości lub wdzięku. Część zaś najświetniejszą
może tego zbioru stanowią Portrety literatów naszego już
wieku. Więcej miał o nich wiadomości, ustnych podań, wła-
snych wspomnień, listów, świadectw, materyałów różnego
rodzaju, ale też nigdy nie uchwycił tak podobieństwa, nigdy
tak nie oddał człowieka ze wszystkimi jego charakterysty-
cznymi rysami, nigdy tak portretu nie wykończył i nie nadał
mu tyle życia, jak kiedy mu przyszło malować literatów

z czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego: Koźmianów (ojca i syna), Wężyka, zwłaszcza Morawskiego. Epoka ta wyszydzona przez romantyków, poszła w zapomnienie u młodszych pokoleń, które na prawdę znały ją głównie z Mickiewicza świetnej a złośliwej odpowiedzi na krytyki *Recenzentów warszawskich*. Sprawiedliwość należała im się przecież, i był to piękny dzień dla naszej literatury, niejako dzień pogodzenia i zadośćuczynienia, kiedy ten za młodu fanatyk romantyzmu a zawsze znawca i wielbiciel klasycyzmu prawdziwej, w owej naśladowniczej i wzgardzonej odkrył pod sztuczną farbą i konwencyonalną maską zdrową cerę natur jędrnych i męskich, zajmujące twarze ludzi, głowy ich myślące i serca pełne wszelkiej szlachetności, kiedy wydobył na jaw i oświecił dziennym światłem zalety ich literackie i patriotyczne zasługi. A jak wydobył? jak umiał oświecić? jak w tym *Obozie Klassyków* nie ginie żaden szczegół ani żaden człowiek, jak każdy schwycony jest na uczynku ze wszystkimi swojemi zaletami i słabościami, jak przedstawiony z uszanowaniem i serdeczną sympatją, a zarazem z humorem i dowcipem! Jak on wniknął w duszę każdego z nich i jak ją umiał przedstawić. Jeżeli wszystkie portrety mają wartość bardzo wielką, to te służyć mogą za wzór i uchodzić zawsze za arcydzieło tego rodzaju pisania. Wszystkie razem zaś mają to znaczenie i tę zasługę ogromną, że choć niezupełnie, niesystematycznie, ale w znacznej części zaradzić mogą na brak historyi literatury tak napisanej, żeby w formie każdemu przystępnej i miłej podawała trafne i umiejętnie, na głębokiej nauce i wybornym smaku oparte, sądy o pisarzach i ich dziełach.

Portrety zbierały się pomału, w ciągu długich lat, a inne zajęcia szły swoim torem. Nie ustaje naprzykład nigdy zajęcie się literaturami obcych narodów, a pięknym tego dowodem jest ta *Kartka z dziejów sztuki*, w której Siemieński do tłómaczonej z Franciszka d'Olanda rozmowy między Michałem Aniołem a Wiktoryą Colonna, rozmowy przedmiotem i rozumem godnej stać obok dyalogów Platona, dodaje przez siebie już napisane ładne życiorysy tych dwojga ludzi tak znakomitych w najznakomitszej epoce chrześcijańskiej sztuki. W ślad za tem poszedł przekład *Sonetów* Michała

Anioła, który także do kosztownych nabytków naszej literatury, do dowodów jej cywilizacji liczyć należy.

Poezya oryginalna, własna, zbyt mu była wrodzoną i miłą, żeby mógł być kiedykolwiek zarzucić ją zupełnie; przecież nie oddaje się jej teraz tak wiele, z takim zapalem, jak niegdyś. Wiersze, zawsze równie łatwe i wdzięczne, zjawiają się rzadziej. Z całego tego szeregu lat od 1848 do 1863, niewiele się ich zebrało. Jest *Mimosa*, mała powiastka, którą autor sam za drobnostkę uważał, a której wesoły początek (ustęp I i III) i zakończenie ustępu XI należą do bardzo ładnych Siemieńskiego wierszy.

Codzień przejrzeć się wzajem, jak słoneczku w zdroju,
Westchnąć, zblednąć, zecerwienieć, kłaść rękę na sercu,
Jakby się przysięgało na ślubnym kobiercu —
Spotkać się na spacerze lub w kościelnym tłoku,
Usłyszeć nutę dumki miłosnej o zmroku,
Znaleść zgubiony bukiet, a wierszyk w bukiecie —
To już dla nich wystarcza, to szczęście w ich świecie.

I tak ubiegło lato na sennem marzeniu,
Niby anioł, co spłynął na złotym promieniu,
I przyniósł aż z Edenu kwiatów pełne kosze,
Którymi posypywał wszystkie ich rozkosze
I pragnienia człowiecze, że prawie myśleli,
Iż mogą tu na ziemi kochać jak anieli.
Lecz trafem, między inne, rodzaj niezabudki
Wmieszał się i ostrzegął, że raj ziemski — krótki
Kwiat ten zowią przecuciem.

A cóż jest przecucie?

Oto najslodszych serca rozkoszy otrucie!

Nieco wierszy okolicznościowych, z polityczną tendencją, a między temi prym trzymają bajki, bajki, które pod swoją allegoryczną osłoną nie były się podejrzliwej ówczesnej cenzury, a które tak zręcznie i ostro przycinały jednym, tak dzielnie dawały satysfakcyą obrażonemu uczuciu drugich, jak niegdyś w Warszawie bajki Niemcewicza. I dla tego to podobieństwa stosunków publicznych i ducha bajek, podpisywał się Siemieński na swoich *Ursynkiem*, a Ursynek ten

nie miał mniej dowcipu, ani mniej patryotyzmu od Ursyna, a poetycznego talentu nierównie od niego więcej. Jeżeli mu się wydało, że tu i owdzie nie umiano wobec rządu zachować godności, puszczał w świat bajkę, której moralna nauka była:

że kiedy wróbla na plewy nie złapie,
próżnego zawsze złapiesz na pozłotę,

albo inna o myszach, które pobratały się z kotami:

aż naraz w wirze żwawego waleczyka
padło sto myszy.

Jeżeli jaki powiatowy wojskowy czy cywilny potentat pastwił się nad polskimi pamiątkami, jeżeli naprzykład potłukł i chciał znieważyć posążek jakiego polskiego bohatera, Kościuszki lub księcia Józefa, to w dni parę opowiadała bajka, jak „pewien dziki leśny satyr“ walił posągi Temistokłów i Milejadów, a kazał odlewać ze złota „Satyra i Frynę uliczną,“ a w zakończeniu dowiadywał się Satyr:

„że glinę łatwo rozbić, bo krucha,
„trudno rozbić Grecyi ducha.“

Z tych bajek najładniejsza może o Kruczku, który chciał, żeby wszystkie zwierzęta zapomniały swoich przyrodzonych głosów, a tylko na jego sposób czekały:

Słowem, Kruczek wystąpił jako metr języków
I wykladał tej rzeszy codzien, od świtania,
W teorii i praktyce zaeny kunszt szczekania. —
Zrazu tępo, lecz z czasem szła nauka gładko,
Zwłaszcza że mistrz i łajał i kąsał nierzadko.
Otóż po latach kilku — niesłychane dziwo!
Wszystek drób, nawet chlewnik, choć nieraz fałszywo,
Jednak psiemi głosami warczał, skomlał, szczekał,
Aż kto żył, słuch zatykał i z dworu uciekał.
Jeden tylko pan Dziedzic, o którym dość jawnie
Gadano, że majątność tę nabył nieprawnie —
(A wiemy, że na takim czapka zawsze gore)
Radował się z szczekania w porę i nie w porę —

I głosząc po łbie Kruczka, tak mówić doń raczył:
 — Toś mi zuch, żeś co żyło, w zagrodzie mej spsiaczył;
 Bo i prawy właściciel do niej się nie przyzna:
 Gdy usłyszysz szczekanie, rzeknie: psia ojczyzna! —

Ale nie na tem koniec. Bajka kończy się prawdą, która
 od roku 1830 do 1850 zwłaszcza, była wielką prawdą, rze-
 czywistością naszej historii:

„Szczęściem słowik na drzewie śpiewał corok w maju
 „O dźwięku brzmień wrodzonych, starym obyczaju,
 „Co rządzi zwierzętami od świata początku.

Takim słowikiem pomiędzy innymi był i on także.
 Z takich okolicznościowych najenergiczniejszy, bo bez zasłon,
 najzłośliwszy doweipem, jest napisany w roku 1856 wiersz
Precz z marzeniami:

Zakazuje się wyraźnie
 Pod Sybirem i knutami,
 By nie trapić wyobraźnię
 Rojeniami, marzeniami.
 Marzyć Polskę — rzecz obrzydła!
 Kiedy w naszej Moskwie świętej
 Tyle śniegu, tyle bydła,
 Tyle stepu, co nietknięty. —
 Marzyć Polskę — kiedy w Rusi
 Rzeczywistość piękna wskrós.
 A choć z góry Car tam dusi,
 I ty sobie drugich dus.
 Zakazuje się wyraźnie
 Pod Sybirem i knutami,
 By nie trapić wyobraźnię
 Rojeniami, marzeniami.
 Marzy wolność Polak głupi —
 Czyż w Rasiei nie swoboda?
 Kto ukradnie, ten nie kupi;
 Cudza własność tam, jak woda.
 I sumienia kajdan nie ma
 I nie trapi duszy grzech —

Co kto porwał, to i trzyma;
Kto popadnie — to i śmiech.

Zakazuje się wyraźnie
Pod Sybirem i knutami,
By nie trapić wyobraźnię
Rojeniami, marzeniami.

Marzyć jakąś tam oświatę,
Jakby w Moskwie jej nie było!
Wszak Bojary tam bogate,
Mają, co się wam nie śniło.
Po francusku pańskie dzieci
Szczebiotają jak u was —
Wreszcie car nad wszystkim świeci,
Na oświatę da ukaz.

Zakazuje się wyraźnie
Pod Sybirem i knutami,
By nie trapić wyobraźnię
Rojeniami, marzeniami

Dość tych marzeń! Sto lat blisko
Jak marzycie nadaremnie --
A jak było, tak jest wszystko;
Bo nie będzie nic bezemnie —
W Moskwie tylko przyszłe życie;
Bez Moskala jakież świat?
Cóż lepszego wymarzycie
Nad kwas, dziegieć, Sybir, bat?! —

Zakazuje się wyraźnie
Pod Sybirem i knutami,
By nie trapić wyobraźnię
Rojeniami, marzeniami! —

Z lirycznych zaś najpiękniejszy może jest wiersz *Westchnienie za Polską*. Jak Krasiński dziękuje, że „wszystko nam dałeś,” tak on znowu skarży się, że

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Jako zżętemu kłosowi na łanie
Ziarno skradziono, na proch słomę starto,
I wiejąc na wiatr, wołano po świecie:

Przekłeta ziemia rodzi tylko śmiecie,
Troszczyć cię o nią nie warto!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Jako łotrowi, co na rusztowanie
Wskazan, policzek dostaje od kata —
Herby mu łamią, imię na przekleństwo,
Ciało oddają na miecza męczeństwo,
Popioły wicher rozmiata.

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Jakbyśmy wpadli w piekielne otchłanie;
Słyszając ich: słońce świeci tu inaczej
I ludzi nie ma — tylko dzika tłuszcza,
I kraju nie ma — tylko ciemna puszcza
Wyjąca rykiem rozpaczy.

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
I Tyś Jobowi na wypróbowanie
Brał syny, zboża wybijał i stada —
Lecz nasze próby wprost idą od ludzi,
Przeto litości ich nie już nie wzbudzi.
Biada sądzonym, biada!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Zostało jedno Twoje zmiłowanie,
A to coś więcej od bluźnierstw i krzyku —
Bo kiedy zechcesz zwrócić na nas oko,
Ile dziś nisko, o tyle wysoko
Staniam w narodów świeczniku. —

I drugi jeszcze, ten już o sobie tylko, niesłuszny, jak
możemy wszyscy z czystym sumieniem zareczyć, ale bardzo
rzeczny i ładny, nosi tytuł *Kto wspomni*:

Burzami gnany wędrowiec,
Czyż swoją ziemię powita?
Czy się o jego grobowiec
Bliska potomność dopyta?

Jeżeli miejsce spoczynku
Nikt z druhów nie zwilży łezką —

Kalino, rózo, barwinku,
Strząście nań rosę niebieską!

Jeżeli zimni przechodnie
Od grobu odwróćą lica,
Przyświecajże mu łagodnie
Cichy promieniu księżycu.

Jeżeli nakoniec, nikt żywy
Nie wspomni o mnie, o pieśni;
Wspomnijcie gaje i niwy,
Wspomnijcie ptaszkowie leśni!

Ptaszkowie, doliny, kwiaty,
Księżycu, gwiazdo, błękiecie!
Dla was śpiewałem — wy z laty
Gęślarza nie zapomnicie.

Wreszcie, pod zbiorowym tytułem Okruszyn ogłosił mały zbiór myśli, uwag, maksym lub spostrzeżeń. Są między niemi równie trafne co do myśli, jak szczęśliwe i dosadne co do wyrażenia: *Nowe dworactwo*:

W imię ludu je, pije, chodzi i oddycha,
I płaszczy się i schlebia. Dworak? co u licha!
Jam myślał, że dworactwo z dworami przepadło;
Nie! z przedpokojów wyszło, na rynku zasiadło.

Pycha i Głupota:

Patrz! jak czwają przez jary i błota.
Któż oni jeżdżę? to z *Pychą Głupota*.
Szczęśliwej drogi! nikt was nie wyprzedzi;
Z tyłu za wami *Wstyd* ze *Szkodą* siedzi.

Władza:

Nie mamy naszej władzy, utwórzmy moralną.
A jednak czcimy jedną władzę materyalną!
Wszelka inna do buntu wyzywa rozumy.
Najmilsze panowanie własnej naszej dumy.

— Niech dobosz będzie wodzem! jestem mu posłuszny,
 Byle Ojczyznę wskrzesił! — tak mówi napuszny
 Młokos — a z wszelką władzą zostaje w rokosz.
 Wprzód się naucz krok stawiać po łada doboszu.

O przekłēci! przekłēci! Bogu liczbę zdacie;
 Żeście nas z wszelką władzą trzymali w rozbracie.

Rozdwoj i panuj — sekret władzy to czartowskiej.
 Pogódź i prowadź — prawda władzy z łaski Boskiej.

Oryginalność:

Ktoś rzekł: do żadnej szkoły nie należę,
 Nie naśladowuję i w mistrzów nie wierzę.
 Cóż mię nauczą Greki lub Rzymianie?
 Znajomość z nimi — to naśladowanie.
 — Zgadłem twej myśli wysoki kierunek:
 Cheesz głupcem zostać na własny rachunek ¹⁾.

Zmiana:

Czuję to — spowaźniałem; już ja nie ten samy
 Co dawniej, kiedy humor wesół nie znał tamy,
 Myśl się rozbryzgiwała w dowcipy, żarciki,
 A od śmiechu się kładli moje rówienniki.
 O, bo też w Polsce naszej wszystko się zmieniło!
 Od niej padł cień i na mnie, choć mię w niej nie było;
 Zresztą, im bliższy zachód, tem dłuższy cień pada,
 Tem głębsza cisza, w której głos z za światów gada.

Przyszedeł wreszcie czas, że jeszcze gorzej „w Polsce
 naszej wszystko się zmieniło“ a ta zmiana i na nim wpływ
 swój wywarła. Po stracie syna i po tej ranie śmiertelnej,
 z której narodowi wyleczyć się tak trudno, dopiero miał
 prawo powiedzieć „od niej padł cień i na mnie“, ale w tym
 cieniu istotnie coraz głębszą stawiała się ta cisza ducha,
 w której słyhać „głos z za światów.“ Ze swojego pokole-
 nia ludzi wyobrażeń i nadziei widział coraz mniej koło sie-

¹⁾ Porównaj *Goethego*: „Den Originalen.“

bie, wszystko czem żył za młodu, to pod koniec drogi opuściło go i rozwiało się jak tuman, a przed sobą widział tylko step głuchy i pusty, na nim nie ku czemuby dążyć, żadnego kierunku drogi ani żadnego jej końca, na któremby spoczęło oko i serce. Goryczy ani smutku nie dawał po sobie poznać, a jednak czasem duszę paliła gorycz, a smutek ciężał na niej stale. Oto na przykład zwierzenie, nikomu nie pokazane, samemu sobie tylko zrobione, zapisane na ulotnych kartkach jego wspomnień 1go stycznia r. 1869:

„Zwracam się w tym pierwszym dniu nowego roku myślą w lata, które przeżyłem . . . Nie powiem, żebym był olbrzymem, ale ile sił starczyło, zawszem bez hałasu miał się za wyrobnika na polu służby dla Ojczyzny . . . dziś stargały się siły . . . jakieś niezrozumiałe otacza mnie pokolenie — niezrozumiałe o tyle, że mój zdrowy rozsądek nie umie sobie wytłomaczyć, co ich tak pędzi na drogi wręcz sprzeczne z interesem naszym, sprzeczne z świeżem doświadczeniem okupionem zatrutą polskość na Litwie, Ukrainie, Wołyniu. Ztąd czuję się jakby sparalizowanym, niezdatnym do tych funkcij publicznych, do których cisną się i weisnęły indywidua podejrzaney wartości tak pod względem moralnym, jak umysłowym. Cóż miałbym do roboty między nimi, kiedy niema ani jednego punktu zetknięcia się między mną a nimi? Wreszcie choćbym i wystąpił ze zdaniem, pokona mię większość — ta większość, którą niezmiernie łatwo na swoją stronę pozyskać, byle obstawać za lada popularnem głupstwem, czyli kłamać i sobie i drugim. Tego nie potrafię, bo to poniżałoby mnie we własnych oczach. Lepiej samemu stać na boku i niezaciągać odpowiedzialności przed sumieniem i zdrowym rozsądkiem. Nie umiem także grać roli człowieka rozerwanego na wszystkie strony, który od rana do nocy biega z posiedzenia na posiedzenie, który kogo spotka, męczy swojemi planami, wszędzie jest, wszędzie o sobie mówi, każe się po pismach wysławiać, słowem napełnia sobą wszystkie cztery żywioły, a najwięcej powietrze — bo tylko wiatr sieje i nie więcej. To mi trudniejby przyszło niż kuć kamienie na publicznym gościńcu. Milsza mi cicha praca bez rozgłosu. Pracując na seryo, niezdolnym się czuję do tego szastania się. Dziś jednak taki obrót wzięły rzeczy, że bez

tego niemożna wypłynąć na wierzeh. Ludzie, którzy z natury swego położenia w społeczeństwie, powinnyby inną obrać drogę, aby krajowi rzeczywiste przynieść korzyści, poddają się widocznie temu prądowi i akompaniują mu dyszkantem lub basem, a chociaż w duchu niejeden może żartuje sobie z przybranej roli — to przecież siły ci opadają, gdy się wkoło obejrzyysz, a nie zobaczysz zastępu ludzi z głową i charakterem, na których mógłbyś się oprzeć. Brak odwagi cywilnej zrobił z nich służalców partyi wicherzącej. Być może, że to dobra polityka, nie przeszkodzi szalonym i głupim, aby się wyszumieli, lecz z drugiej strony granader niebezpieczna, bo przewrotne wyobrażenia krążąc swobodnie, coraz więcej głów zarażają. Nie stawić oporu fałszowi, jedno jest co zapewniać jego wszechwładztwo, co złe przyjmować bez walki.

Mysząc o tem, życie traci wszelki urok, towarzystwo ludzi staje się nieznośnem. Być może, że mi się to wydaje w większych rozmiarach, niż jest istotnie, ale dopóki nie widzę oddziaływania w rozumnym kierunku, nie mogę wesoło na świat poglądać. Od kilku dni opanowała mnie jakaś melancholia. Rok zaczął się smutnie — daj Boże! aby skończył się wesoło; lubo nigdzie nie widzę tych symptomatów coby zwiastowały odmianę na lepsze. W smutnem usposobieniu zadumawszy się nad sobą samym, napisałem tych kilka strofek, jakby na pożegnanie tego świata, po którym odbywszy wędrówkę nie bez walk i trudów, widzę się nad tym brzegiem, gdzie ziemia się kończy, a tajemnicza wieczność zaczyna.

Nie mogę powiedzieć, żebym czuł przesyt życia; niewiele go używałem, a tem mniej nadużywałem; ale doznawszy wiele zawodów i rozczarowań, czuję, że moc ciągnąca mnie w tajemną przyszłość silniejszą jest od tej, która ciągnie do ziemi. Oglądam się więc na przebieżoną drogę i posyłam pożegnanie bez goryczy i wyrzutów:

Wdzięczne dnia światło, niebios wydęty błękitie,
Gwiazd stada z swoim pasterzem księżycem!

Tyle już, tyle lat na mnie patrzycie
Wesołem lub chmurnem licem...

Jutro już może nie powitam was:

Komu w drogę temu czas.

Pieśni słowicze, ptaszków powietrzne chorały,

Borów szумы mistyczne w nocną ciszę;

Śpiewne jeziora, mrużące kryształ,

Rozmyślań mych towarzysze!

Jutro już może nie usłyszę was:

Komu w drogę temu czas.

Wonnych balsamów z czeremch, bżów, wiśni, jabłoni,

Majowy wietrzyk dla mnie nie pozbiera,

Ni technię żywicznych od lasów nagoni

I róż mi nie pootwiera.

Jutro nie przyjdę piersią chwycić was:

Komu w drogę temu czas.

Wy uskrzydłone duchy z dółtem, pędzlem, piórem,

Coście od ziemi rwali mię do siebie,

Żem się nie toczył po niej suchem wiórem,

A częściej chodził po niebie,

W górnej pracowni chyba spotkam was:

Komu w drogę temu czas.

O złote nici w pasmo powpłątane zgrzebne,

Marzenia wieszczę, zapachu ekstazy!

Życia miraż już mi niepotrzebne,

Rzeczywistsza milion razy

Jutro mnie wieczność oddali od was:

Komu w drogę temu czas.

O mgły fantazyi! z gliny waszej gdy lepiłem,

Twórca był ze mnie — twórczość to nieplodna;

Bo choć z waszego źródła ciągle piłem,

Nigdy nie dopił się do dna.

Bezczelne! więcej grób powię od was:

Komu w drogę temu czas.

Snem wszystko!... Mleczną drogą z gwiazd wybrukowaną

Pójdę ku słońcom w przestwory szafiru,

Gdzie czysta prawda będzie mi podana

Wykuta jakby z porfiru...

Żal mi sere kilku; *moi*, żal mi was:

Komu w drogę temu czas.

Kto wiedział, kto się domyślał, widząc go zawsze pogodnym i dobrym, a nieraz wesołym i rozweselającym, jak dawniej, jak za dobrych czasów, że on nie tylko cierpi tak głęboko, ale dochodzi do tej zupełności cierpienia, w której człowiek już się nie rzuca, ani miota, ani skarży, tylko przyjmuje cierpienie jako konieczność z tem uczuciem nieuniknionem ale najcięższem na świecie, które się nazywa rezygnacją. Wszystko co się kochało i czego pragnęło, wszystkie ideały i wszystkie nadzieje zawiodły, wszystko marność! — i chłodno, obojętnie prawie z pogardą odwraca się, bo nawet nie odrywa, człowiek od ziemi na której zostać nie warto, a na której jedyną prawdą i rzetelnem dobrem było tylko sere kilka najbliższych, najwierniejszych, przywiązanych na czas i na wieczność. Nigdy Siemieński nie napisał wiersza tak pięknego jak ten, nigdy tak nie streścił swojego wewnętrznego życia i wszystkich jego pierwiastków, nigdy sam nie pokazał się tak wysoko, tak silnie, tak rzuwnie czującym. A co najpiękniejsze, to właśnie to, że tę spowiedź i to pożegnanie ukrył przed światem jak tajemnicę pomiędzy sobą i Bogiem, i że z tej strony nowej a najpiękniejszej może, poznaliśmy go dopiero kiedy go już nie było. Ten wiersz i zachowanie go dla siebie, to najlepszy wyraz i streszczenie ostatnich czternastu lat jego życia. „Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, a zresztą jednaki“, tak jednaki, że nikt się nie domyślał, jak bardzo zmieniony, że pracujący jak zawsze, jak zawsze zajęty żywo i serdecznie wszystkim co polskie i wszystkim co piękne, jak zawsze pogodny, pełen dobroci i wdzięku, i do ostatka młody nawet żywością uczuć, ruchliwością umysłu, wesołością humoru. Tylko dla siebie samego, w głębi i tajemnicy swojej duszy, on jak widać już nie był jednaki.

I wtedy nastał zwrot w jego życiu ostatni. Czego na ziemi pragnął lub wyglądał, to zawiodło, z otaczającym światem trudno było zrozumieć się i pobratać, same nawet poeciechy i rozkosze tworzenia były bezsilne i marne, cóż pozostało? co pewne, co stałe, co niewzruszone i wiekuiście

prawdziwe? co nie zawodzi i nie zmienia się? nad ziemią Bóg. Ale na ziemi czy nie trwałego, rzetelnie i na zawsze pięknego nie ma? „Na świat przychodząc za wzór powołania piękność mu dano“, i temu powołaniu wiernym, artystą, musiał Siemieński zostać do śmierci. Tylko piękność jak ją pojmuje i tworzy nasz wiek, ten wiek, który mu obiecywał tak wiele a nie nie dotrzymał, zamałconą jego sprzecznościami, wstrząśniętą jego brakiem równowagi, osłoniętą i przyćmioną wszystkimi dymami tego wulkanu, już go zaspokoić i ukoić nie mogła. Potrzebował innej, prostszej myśli i formą, niezależnej od naszych dzisiejszych potrzeb, czy dążeń, walk czy namiętności. Szukał jej też w odległych wiekach średnich lub starożytnych, w tej poezji katolickich świętych, która odrywając się od świata „szuka swego gniazda daleko od ziemi“, albo w tej ziemskiej i świeckiej ale tak nieśmiertelnej prostej prawdą uczuć pojęć i natur, i prostą pięknoscią form, że człowiek ukazuje się w niej jakim go Pan Bóg stworzył, a nie jak go wychowaniem swoim przerobiła historia, w olimpijskiej poezji Homera. Piękny to koniec: człowiek po wielu trudach i zapasach „doznał, jak lubo rozbląkanej w swym żalu swego szczęścia zgubą

Gdy już z ziemskich i bólów i uczuć ochłodził,
Dążyć szlachetnej duszy do swojego źródła:

artysta zmordowany długiem życiem i pracą we wszelkich kierunkach, usiadł wypocząć na samym szczycie Parnasu, u stóp Homera.

Kiedy wspomniałem na początku, że Siemieński był koniecznem uzupełnieniem wielkiej epoki naszej literatury, myślałem o tem, że kto piękność rozumie i objaśnia, ten ją przechowuje, żeby nie poszła w zapomnienie albo w poniewierkę. Ale oprócz tego dopełnił on ją i przez to, że rozpoczętą walkę romantyków z klasykami zakończył pogodzeniem, przywróceniem klasyków do czci jaka im się należy, i wprowadzeniem w naszą literaturę, w naszą oświatę powiedzmy, znajomości prawdziwej i zamiłowania tego co w świecie starożytnym greckim i rzymskim najdoskonalsze i najwdzięczniejsze.

Jego przekład Horacego jest wymiarem sprawiedliwości, słusznem zadośćuczynieniem oddanem poezji rzymskiej, zbyt przez naszych pierwszych romantyków lekceważonej, a jest tak doskonałym, że żaden wdzięk oryginału, żaden ton uczucia, żaden uśmiech, żaden wykwintny zwrot formy nie ginie, i nie wiem czy Horacy był kiedy w jakimkolwiek nowszym europejskim języku tak do siebie, jakim jest w oryginale, podobnym. Jakim sposobem w tych ostatnich latach życia, przygnębiony smutkami a duszą już coraz bardziej zatopiony w niebie, i już stary, mógł on znaleźć w sobie tyle pogody, tyle gracyi, tyle zamięłowania świata i życia, żeby dorównać w nich rzymskiemu poecie? To już jego tajemnica, tajemnica tego artystycznego usposobienia, które wszelką piękność jakiegobądź rodzaju zawsze zdolne było uczuć i odtworzyć. Ale od tego dziwniejszym i zupełnie zdumiewającym jest jego przekład *Odyssei*, przez to naprzód, że w późniejszym wieku, i w mnóstwie innych prac rozlicznych mógł dzieło takie podjąć i dokonać. I przez to także, że się poddał twardej konieczności filologicznych studyów jakich ono wymagało, bo przecież nie z tą znajomością greckiego języka, jaką przed pół wiekiem wyniósł z lubelskiego gimnazjum mógł wziąć się do tłumaczenia Homera.

Mówią na to, miał wielką łatwość do pisania i nauki. Zapewne: łatwo było Owidiuszowi składać wiersze, Newtonowi łatwo przyszło odkrycie prawa ciężenia, Mirabeau, Chatham, Burke mówili z łatwością, ale ta łatwość ludzi gienialnych tak daleka od zwykłej powszedniej łatwości mówienia czy pisania zwykłych i powszednich ludzi, jak *Tristia* od tych wierszyków, które kwitną i więdną dzień jeden w pismach peryodycznych, jak odkrycie Newtona od łatwej i prędkiej odpowiedzi ucznia wyrwanego przez profesora na lekcyi.

Zamiast o *Odyssei* mówić, pozwolimy sobie przytoczyć sąd poważniejszy, bo wydany przez biegłego w językach i literaturach starożytnych znawcę: ¹⁾

¹⁾ *Hugona Zatheya*: Homer w Polsce (*Przegląd Polski* rok 1874 miesiąc wrzesień str. 439 — 441) (w osobnem odbiciu str. 53 — 55.)

„Jakie warunki złożyły się na doskonałość dzieła, które się tylu nie udało poprzednikom? Odpowiedź nie trudna. Naprzód i przede wszystkim pan Siemieński nie jest ani wierszopisem, lecz jest w najlepszym tego słowa znaczeniu poeta, który swoją drogą bardzo ładnym włada wierszem. To pierwszy i nieodzowny warunek; poeta koniecznie i tylko poeta tłumaczyć powinien. Bardzo delikatnie i skromnie, nie chcąc siebie wynosić a kogo innego dotknąć, natrąca o tem sam pan Siemieński w przedmowie: „Jedni tłumaczą prozą, drudzy wierszem — a mnie się zdaje, że tu potrzeba przede wszystkim poezyi, elementu nie dającego się niczem zastąpić.” Poeta tylko dokładnie może wsłuchać się w dzieło wieszczą, które chce w swoim powtórzyć języku, zrozumieć każde uczucie jego serca, każdą myśl jego duszy, każdy polot fantazyi — zrozumieć, pokochać, przetrwać, nim się weźmie do tłumaczenia. Nie dość na tem; musi on zaprzeć się swojej indywidualności i twórcę oryginału więcej kochać niż siebie samego. W przeciwnym razie najzdolniejszy poeta nie stworzy dobrego przekładu. Mielismy doświadczenie na Słowackim, którego ustęp z Iliady nosi piętno tłumacza a nie Homera.

Następnie potrzeba koniecznie bardzo rozległych studyów i bardzo dokładnej znajomości oryginału, ażeby się z jego twórcą zupełnie zrość i spoufalić. Nigdy nie byłby p. Siemieński przełożył Horacego tak znakomicie, że nawet filologowie z zawodu w rozprawach swoich przytaczają jego tłumaczenie, gdyby nie znał był doskonale ducha całej poezyi, całej literatury rzymskiej. Tak też tłumacząc Homera, nie tylko jego dzieła miał pan Siemieński przed sobą; — widać wyraźnie, że poznał piękną starożytną jego ziemię za pomocą studyów archeologicznych, że badał nietylko historią, ale i obyczaje, nietylko język, ale i *geniusz* języka — słowem że starał się zgłębić ducha Hellady przyświecającego tak pięknie wszystkim wiekom i ludom. Ile tu potrzeba cierpliwej miłości, ile wytrwałej pracy, ile siły, żeby nie utracić poetyckiej świeżości — ile nareszcie talentu, żeby przed oczyma czytelników ukryć ten mozół i oszczędzić im patrzenia na przygotowawczy aparat — niełatwo to ocenić! Owszem, im dzieło doskonalsze, tem mniej się nad tem zastanawiamy, tak, jak patrząc na piękny marmurowy posąg, nie liczymy, ile on uderzeń młota kosztował, ile nauki i znajomości rysunku, ile

cierpliwości. Pan Siemiński i w tej mierze stworzył arcydzieło: jego *Odyseja* czyta się tak łatwo, tak swobodnie, jak najdoskonalszy utwór oryginalny, i tem różni się od bardzo wielu innych tłumaczeń naszych i zagranicznych. Docierać do tekstu ile się da najbliżej a nie oddalać się od swobody oryginalnej kompozycji, oto była, jak sam pan Siemiński powiada, myśl, która mu przewodniczyła, którą świetnie wykonał. Poprzednicy albo się zbyt oddalili od oryginału i stali się niewiernymi, albo zbyt się zbliżali i utraciwszy wszelką swobodę i samodzielność, zrobili swą pracę wymuszoną, nudną i niewolniczą.

Czego jeszcze wymagał przekład Homera — to niezmiernego bogactwa języka, szerokiej skali stylistycznej, wielkiego zasobu wyrazów. W skromnym i niepodniesionym głosie Homera jest jednak wielka siła, w prostych i niewyszukanych słowach, wielka powaga i bogactwo. Do tego nie łatwo się nadaje język dzisiejszy — za lekki, jak słusznie uważa p. Siemiński — ażeby dźwigać cyklopejskie kamienie homerycznej powieści; — musiał go więc tłumacz zasilić nie tylko własnymi, z dawnych czasów skarbami, ale i poradzić się czasem matki starosłowiańskiej, czasem pobratymczych języków — a gdzie i to nie wystarczyło, na własnem a szczęśliwem polegać natchnieniu. Widzieliśmy, jakich dziwactw pozwalali sobie dawniejsi tłumacze, chcąc oddać myśli i wyrazy oryginału. Pan Siemiński i pod tym względem bogatszym rozporządzał funduszem, niż bardzo wielu innych najzdolniejszych nawet poetów, a fundusze te zbierał jeszcze za młodu. Bardzo prawdziwe są przytoczone już słowa Bartoszewicza, że w dźwiękach Homera jest koloryt pieśni gminnej na wielką skalę nuczonej, pełen prostoty i wdzięku. Do wyśpiewania takiej pieśni w naszym języku przygotowywał się pan Siemiński oddawna i jeszcze z powodu nieporównanego tłumaczenia Rękopisu królowskiego ślicznie powiedziano o nim „że obmył język polski w żywym rodzinnem źródle Słowiańszczyzny, biorąc żywcem niektóre wyrazy i zwroty czeskie i ruskie.“ I istotnie, przyznać trzeba, że w tych starodawnych pieśniach czeskich, jak i w Wyprawie Igora na Polowców, tłumaczonej przez p. Bielowskiego, wiele jest wdzięku, prostoty i siły Homerowej.

Ztemwszystkiem i tu podwójne groziło niebezpieczeństwo: zbytne zasilanie się staropolskim językiem mogło nadać tłumaczeniu cechę archaistyczną, dla dzisiejszych ludzi nie całkiem przy-

stępną — zbytnie znowu czerpanie z słowiańskich żódeł mogło zagrozić duchowi polskiego języka. Pan Siemieński tak dalece uniknął tych niebezpieczeństw, że i domyslić się ich trudno; szczęśliwie tworzył lub pożyczal wyrazy dobre i jędrne, a nie dla nas nie mające obcego — słowem, język wzbogacił. Odyссеja p. Siemieńskiego jest nietylko arcydziełem tłómaczeń, jest ona także wielkim pomnikiem polskiego języka, jest żywym świadectwem jego bogactwa.“

Czyż trzeba tłómaczyć, jakim nabytkiem, nie zbytkiem ale konieczną potrzebą każdej literatury cywilizowanej są dobre przekłady arcydzieł literatury starożytnej, a jakim zaśszczytem, jakim dowodem oświaty w narodzie są takie ich przekłady? Rzecz zbytuczna.

Dodajmy więc tylko, że przekłady dawnych średnio-wiecznych poetów katolickich, *Pieśni Mistycznej Miłości*, i dodane do nich szkice św. Franciszka, Bonawentury, Jana od Krzyża i innych, nietylko otworzyły nam nowy i nieznanym a bardzo piękny horyzont poezyi, ale były i one także dopełnieniem potrzebnym i słusznym. Romantyczność tak rozkochana w wiekach średnich, i tak dumna ze swojego w nich rozmiłowania, znała ballady i legendy, rycerzy i turnieje, ale o stronę religijną wieków średnich mniej dbała a ich religijnej poezyi nie znała. Ten powrót do uczuć katolickich jaki się odbywa w naszych oczach i sercach, odbił się i na niej także, kiedy romantyk tłómacz za młodu pieśni rycerskich miłosnych lub ludowych, w starości przekładał to, co w poezyi wyraża tego samego ducha, co w malarstwie Masaccio albo Angelico da Fiesole, w rzeźbie Giovanni Pisani albo Donatello, i w narodowym piękności kościele wystawił jak się godziło ołtarz dla Franciszka z Assyżu i Jacopone z Todi.

A po tych dziełach, które chwałę swego autora utrzymają tak długo, jak długo będzie język polski na ziemi, niech nam wolno będzie wspomnieć jedno jeszcze, które do takiego rozgłosu prawa sobie nie rości, choć pisane ze zwykłym Siemieńskiemu wdziękiem a rzewniejszym może niż zwykle uczuciem, to, w którym opowiedział krótkie żywoty i koniec podobny dwóch młodych ludzi połączonych krwią, jednym imieniem i jednakim losem, dwóch ochotni-

ków z dwóch pokoleń tej samej rodziny, ginących na polu bitwy, w trzydzieści lat jeden po drugim. Wspominać o tej książeczce może najmniej przystoi tym bliskim, którzy mówiąc o niej wyglądać mogą tak, jak żeby się chwalić chcieli i stroili się w zasługę tej krwi przelanej, tej ofiary życia nie swojego. Ale nie wspomnieć znowu, czy nie byłoby to zawahać się przed należnem i słusznem wyznaniem wdzięczności, przemileczeń a przeto poniekąd przeniewierzyć się łaskawej przyjaźni Siemieńskiego, która jak za jego życia była zawsze zaszczytem i ozdobą, nieraz oświeceniem, pomocą i radą, a w tym razie i dobroczynną pociechą, tak po jego śmierci zostaje jedną z drogich i chlubnych życia pamiątek? Niech więc wolno będzie wyznać tę wdzięczność, wspomnieć tę przyjaźń, i po wszystkich jego dziełach wielkich i głośnych wymienić tą przyjaźnią natchnionych, z niej napisanych, *Dwóch Juliuszów*.

Ale i jego żywot także zamyka się między temi dwiema datami, 1830 i 1863, a służyć może za wyobrażenie historii naszej w tym wieku, od jego młodości do schyłku. Zrazu w latach dwudziestu, młody i ufny w siebie, pełen zapału dla wszystkiego co dobre, niesiony w górę wzniosłą poezią która odzywa się ze wszech stron razem, pełen nadziei i wiary że co dobre i sprawiedliwe, to być powinno i musi, rwie się wiek ten do pięknych ideałów wolności i sprawiedliwości, i mniema, że jak zawoła: „dalej z posad“ to i ruszy bryłę świata. W trzydziestu, w latach męzkich, próbuje działać i przegrywa. Zwyciężony, nie złamany, nie traci ducha ani wiary, idzie dalej, do swego celu zawsze, tuła się i cierpi, błąka się a nieraz i błądzi po rozlicznych ścieżkach wygnania i rozlicznych drogach ducha, pasuje i łamie się sam z sobą, chce koniecznie coś z siebie wydać, zanim się przepołowi i ku starości przechyli, i zrywa się znowu, i znowu upada. Ale teraz już, mędrszy po szkodzie, poznaje, że drogi, któremi chodził, nie wywodziły z pustyni, tylko po niej błędnem kołem krążyły, a z marzeń młodości wiele spuszczaając, nie puszcza się swoich nadziei, tylko dłuż-

sza, powolniejszą, pewniejszą drogą próbuje do nich docho-
dzić. To lata wojny krymskiej, wojny włoskiej, i te w nich
ukryte rzeczywiste pierwiastki i zarody pokoju i prawa, które
się nie rozwinęły, ale były. I znowu jeszcze raz wszystko
się w świecie wali, materialne potęgi i moralne prawa: pierw-
sza runęła w przepaść Polska, po niej zachwiała się Austria,
potem Francya odarta, powalona, śmiertelnie ranna, omal
że się samobójstwem nie dobiła; wiara katolicka wyparta
ze swojej przystani, wydana na wszystkie wiatry, tem się
tylko trzyma że wie że zatonać nie może, ale wygląda jak korab
Noego na wodach potopu, wszędzie trzęsienie i rozpadanie
się ziemi, a potop wali się na całą Europę i dotąd jeszcze
Bóg mu nie powiedział „nie pójdiesz dalej“! Gdzie te
ideały, te nadzieje, te wiary naszego wieku z lat jego mło-
dości! Kto z nim razem był młodym, kto pamiętał go jakim był
między swoim dwudziestym a trzydziestym rokiem, a widział
go jakim jest dziś, co ten musiał przeżyć, ile cierpieć, ile
wątpić, ile gardzić, ile przebaczać, ile wyrzekać, i ile się
wyrzekać! Prawda, że w ludziach tego pokolenia które było
młodem w roku 1830, jest zawsze coś żołnierza i coś poety,
ale to nie wszystko: bo w tych, co wtedy nie padli i na-
szych czasów dożyli, musi zawsze być coś i męczennika.

I taki jest charakter życia Siemieńskiego: za młodu
wszystkie poetyczne i patriotyczne zapaly i zachwyty; póź-
niej wszystkie smutki wygnania i wszystkie walki z życiem,
z ludźmi, z własną myślą; na schyłku tyle zawodów i takie
straszne widoki, że gdyby człowiek nie wierzył w Boga
i w Nim nie pokładał nadziei, musiałby przestać w cokol-
wiek wierzyć i czegokolwiek się spodziewać.

Jego zawód i żywot literacki jest w swoim rodzaju do-
tąd u nas jedyny. Jako poeta ma ten dar tak rzadki znajo-
mości swego talentu, i przezeń, trzymając się zawsze w swo-
im zakresie, zdołał zawsze być godnym siebie i swego ta-
lentu. Jako tłumacz, bardzo niewiele ma równych sobie na
świecie; jako mistrz języka i stylu w poezji czy prozie, nie
miał u nas równego sobie w drugiej połowie naszego wieku,
odkąd wielu mistrze słowa z jego pierwszej połowy zamil-
kli. Jako prozaik, miał zdolność i zasługę pracy w najroz-
maitszych kierunkach i przedmiotach, estetyk i krytyk, hi-

storyk literatury i nawet dziejopis, publicysta i pisarz powieści, do wszystkiego był zdolny i do wszystkiego przydatny, a przez piękność i wdzięk swego pióra stworzony na to, żeby światło i prawdę roznosić daleko i szeroko. Jako znawca i sędzia dzieł literatury i sztuki, był pierwszym prawdziwym co do czasu, a przez smak i znajomość rzeczy jest i długo zostanie pierwszym co do wartości. To jest jego stanowisko i znaczenie w dziejach naszej oświaty, to jego rola i zasługa około tej cywilizacji polskiej, której był w naszym wieku jednym z najlepszych dowodów i wyobraźnieli najwyższych. Miewaliśmy w różnych epokach naszego życia takich ludzi, takich pisarzy, którzy skupiają w sobie i z siebie znowu udzielają innym całą cywilizację swego czasu w jej najwyższym wykształceniu. Takim był Kochanowski w wieku XVI, w XVIII Krasicki. Siemieński nie zajmował w literaturze naszego wieku stanowiska tak wyłącznie naczelnego i górującego jak tamci w swoich czasach, ale stopniem wykształcenia, a nawet niektórymi własnościami charakteru i talentu przypomina obu. Doskonałością języka i stylu zbliża się do Biskupa Warmińskiego, i będzie kiedyś uważany za taki pod tym względem wzór i typ w naszym wieku, jak na wiek XVIII jest tamten, do którego zbliża go i dowcip, i lekkość, i dar pisania w najrozmaitszych rodzajach i formach a zawsze dobrze. Rzewnością zaś, siłą i powagą uczucia przewyższa Krasickiego; talent jego uważany w całości nie jest zapewne od tamtego większy, ale tego pierwiastku, pierwszego i najkonieczniejszego pierwiastku poezji, ma więcej.

Kochanowski jest jeden na trzysta prawie lat, a tak drogi i jedyny, że przy nim nikogo stawiać nie można. Ale z nim znowu miał Siemieński wspólny ten smak najwyborniejszy, to zamiłowanie i dobre zrozumienie starożytnych wzorów, jakiego Krasicki wychowany na wzorach francuskich mieć nie mógł. A jeżeli śpiewakowi Trenów on, ani może nikt u nas nigdy nie dorównał, to pogodą i prostotą umysłu i pióra zbliżał się przecie do autora Sobótki, wesołością i dowcipem do autora Fraszek; a choć Psalterz ma w dziejach naszej poezji stanowisko zupełnie osobne i wy-

jątkowe, to przekład Odysei jako przekład, rzeczy nie porównywając, podobno mu nie ustępuje.

W naszym wieku próżno szukać drugiego któryby był do niego podobnym. Niemcewicz na pozór dowcipem i zdolnością pisania w najrozmaitszych rodzajach, ale Niemcewicz pisał wprawdzie wszystko co pisać można, ale nie, pod względem czy treści czy formy, bardzo dobrze, nie tak dobrze jak Siemieński. Nauka jego obejmowała wiele rzeczy, ale brała je płytko, powierzchownie, a jego dowcip, ten dowcip sławny, nie tylko że się czasem ciężko wyrażał, ale i ciężko czasem krzywdził. Dowcipem Siemieńskiego bawiła i cieszyła się cała Polska przez lat trzydzieści, jak dowcip Ursyna, a nikt się go nie bał, nikt się na niego nie skarżył, on nikogo nie skaleczył, a dopiero nie ukrzywdził. Nie: między nimi są tylko pozorne podobieństwa. Jedno tylko rzeczywiste, w tem, co stanowi największą obudwóch zasługę i chwałę, w wiernej gorliwej służbie, w tej samej zawsze a zawsze pięknej dążności wszystkiego co pisali i robili. A i tu nawet jeszcze Siemieński ma wyższość, tę mianowicie, że o wziętość i popularność swoją nie dbał nigdy i utracić się jej nie bał.

Nie rzadszego, w naszych zwłaszcza czasach, jak pisarz, który w prozie umieć być artystą. Było wielu i zdolnych którzy na polu poezji zbierali kłosa po Mickiewiczu i Krasińskim, ale przeszli i znikli, a z ich snopków choć wdzięcznie przyjętych, nie było ziarna na nowy zasiew. Siemieński zbierał na dwóch polach, i dla tego przeżyje wielu, którzy samym tylko poetycznym talentem mogli byli mu dorównać. Bo jeżeli nie zwiednie pewno laur poetyczny który mu wieniec czoła, to niemniej dodają mu blasku i chwały te kłosa prozy wplecione w jego wieniec, kłosa ciężkie od ziarna prawdy, rozumu, miłości piękna, ojczyzny i Boga, które wtedy tylko mogłyby plonu nie wydać, gdyby padły między kamienie i ciernie. Ale da przecież Bóg że padną na ziemię dobrą. A ten podwójny jego wieniec, to streszczenie i symbol jego życia, do którego dobrze stosować można smutne ale wzniosłe słowa niemieckiego poety. Laur świadczy że „i on w Arkadyi był zrodzony,” a kiedy „w połowie drogi opuścili go towarzysze” ideały i nadzieje młodości, „kiedy

„szczęście pierzchliwe odbiegło, pragnienie wiedzy nie zo-
 „stało zaspokojonem, wąpienia posępne obłoki zachmurzyły
 „słońce prawdy, a na stromej ścieżce coraz stawało się ci-
 „szej i samotniej,“ została mu jak tamtemu wiara, przy-
 jaźń, te sere kilka jedynych jakich mu żal było, i kłosa jego
 prozy „zastrudnienie, które nigdy się nie nuży, tworzy pomału
 „lecz nigdy nie burzy a do budowy wieków wprowadzie tylko
 „ziarnka piasku znosi jedno po drugim“ — ale do niej prze-
 cież pomału i służy.

Oto, jak piękność, którą mu dano za wzór powołania,
 Lucyan Siemieński nietylko w pismach swoich tworzył, ob-
 jaśniał i krzewił, ale i w duszy swojej hodował i kształcił,
 i w życiu swoim wykonał i pokazał.



F 7845



F. 7845